ROK I. Nr. 19. 2 czerwca 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Znakomita artystka filmowa Dina Gralla, jako „kobieta w okularach" (do artykułu Zdzisława Kleszczyńskiego na str. 12-ej tego numeru „7 DNI")—Fot. Petef

Pro publico bono!

(Z powodu zjazdu działaczy samorządowych Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem).

Wzbudzaniem wiary w siłę i zdrowie dokonywano cudów religijnych i lekarskich, uzdrawiano ciężko chorych, wydobywano ze zwątpienia melancholji i rozpaczy, podniecano narody do bohaterstwa.

Aleksander Świętochowski.

Częste wędrówki, które odbywam po kraju pogłębiają we mnie przekonanie, iż na prowincji właśnie, w najodleglejszych nawet zakątkach, wyraźniej może niż w stolicy zaznacza się proces budowania Ojczyzny. I patrząc na tę pracę zastępów działaczy społecznych z Wólek i Pipidówek, z pod znaku samorządu, czy też związków spółdzielczych lub zawodowych, oddających wysiłki swe dla celów lokalnych, lecz z myślą o Polsce — przypominam sobie zasłyszaną niegdyś sentencję francuską, wyrażającą zasady regjonalizmu, która i u nas zdobywa sobie coraz większe prawa do obywatelstwa:

„Les petites patries font aimer la Grande" (ukochanie małej ojczyzny, potęguje miłość dla tej, co wspólna i wielka).

Boć skrawek nawet zagonu, najmniejszy warsztat na którym każdemu z nas jest dane pracować, jest cząstką Ojczyzny, a utrzymując przy życiu i rozwijając tę drobną komórkę, przyczyniamy się do rozkwitu całości organizmu.

Łatwiejsze rozumienie przez czynniki miejscowe lokalnych potrzeb i zainteresowań z jednej strony; z drugiej strony zaś umiejętne skoordynowanie tych wysiłków stwarza idealne warunki dla polityczno-gospodarczego rozwoju państwa.

Na takiej właśnie decentralizacji polega sukces powojennych Niemiec, o podobnym stanie rzeczy oddawna marzą Francuzi, nie inaczej wreszcie myśli doświadczony organizator i wybitny filozof Ford w dowcipnem swem orzeczeniu: *„less government in business, more business in government"* (im mniej biurokracji w życiu gospodarczem, tem więcej korzyści dla państwa).

Najpoważniejszą placówką lokalną, która się przyczynia do rozkwitu państwa, zastępując w wielu funkcjach centralne władze administracji i stwarza wymarzony stan *„common wellfare"* (ogólnego dobrobytu), stanowiącego o mocarstwowem znaczeniu danego kraju — jest instytucja samorządu. Organizacja ta jest ponadto doskonałą szkołą, kształcącą obywateli w świadomości zarówno obowiązków jak i uprawnień, byleby — a warunek ten ma niezmiernie doniosłe znaczenie — nie stała się teatrem waśni pomiędzy ludźmi złej woli, przepojonych doktrynami stronniczemi, podobnie jak to miało miejsce w osławionych naszych sejmikach, które utrwaliły smutną tradycję o „rządach sejmikowych".

Istotnie bowiem, niepodobna sobie wyobrazić, by do pracy, w której przeważają czynniki gospodarcze, powoływano ludzi na zasadzie ich przekonań partyjnych. Wystarczy pomyśleć, coby się stało z jakiemkolwiek przedsiębiorstwem, którego zarządcy poświęcali czas na wycieczki osobiste i na spory o wzajemne kompetencje.

Poświęcając się pracy publicznej obywatel zaciąga zobowiązanie względem tych wszystkich, co poza mandatem, oddali mu do dyspozycji grosz, mający służyć ogólnemu dobru. Z groszy tych powstaje i utrzymuje się olbrzymi aparat przedsiębiorstw i instytucyj użyteczności publicznej, ogromny majątek, którego mandatarjusze społeczeństwa są zarządcami.

Odpowiedzialność to wielka.

O rozmiarach tej odpowiedzialności świadczy szereg cyfr, wykazujących sumę obrotu dokonywanego przez związki samorządowe.

Gminy wiejskie	17.5	milj. zł.
„ miejskie	178.0	„
w tem sama Warszawa	71.5	„
Samorząd powiatowy	102.0	„
Starostwa Kraj. w Poznaniu i Toruniu	12.3	„
Tymczasowy Wydział Samorządowy	17.2	„
Śląsk	59.0	„
Razem	386.0	milj. zł.



Prezydjum Zjazdu działaczy samorządowych Bezpartyjnego Bloku: przew. prof. Błędowski, Gettel — prez. m. Kielc, Pachnowski — prez. m. Włocławka, dr. Kocur — prez. m. Katowic, pos. Dratwa, pos. Pacholczyk, dr. M. Dolanowski, dr. Madeyski, dr. Marczyński.

Podobne refleksje niejednokrotnie przychodziły mi do głowy, kiedy wypadało mi praktycznie stykać się w wielu okolicach Polski z działalnością instytucyj samorządowych — i przyznam, że wychodząc z obrad, w których przyjmował udział bezbarwny na pierwszy rzut oka tłum ludzi różnych stanów, prostacy nawet, jak niejeden burmistrz „grodu", liczącego paręset mieszkańców — rad byłem, iż wynosiłem niejedno mądre zdanie, z którego dowiadywałem się o wielu ciekawych zamierzeniach, świadczących o głębokiem uświadomieniu społecznem działaczy samorządowych.

Nie zapomnę również, jak wielu spotkałem przedstawicieli władz administracyjnych, wykonujących z ramienia państwa nadzór nad samorządami, którzy z godną najwyższego uznania gorliwością, kształcili całe zastępy działaczy w duchu służby publicznej.

„— Pragniemy wytworzyć taką atmosferę — mówił mi jeden z wojewodów — by ludność miała tę pełną świadomość, że samorząd to ona sama, by uważała za swoje dzieło instytucje i zakłady komunalne i miała zaufanie do wybranych przez siebie reprezentancyj, słowem, by idea dobra powszechnego była jej udziałem".

Podobne refleksje przychodziły mi do głowy, gdy przysłuchiwałem się obradom uczestników zjazdu działaczy samorządowych, zwołanego w ubiegłą niedzielę do Warszawy, konstatując z radością, iż zarówno w referatach, jak i w toku dyskusji, stale podkreślano troskę o zapewnienie samorządowi uniezależnienia od wpływów politycznych; o wykrzesanie iskier szczerego oddania się sprawie publicznej; o wyrobienie wreszcie przekonania, że wyniki wspólnych poczynań, zależą od zgodnego skoordynowania wysiłków wyłącznie w kierunku pozytywnej pracy.

I przypomniałem sobie w tem miejscu pewną opinję, wygłoszoną w swoim czasie z okazji konkursu Banku Gospodarstwa Krajowego: „polityka gospodarcza — czytamy w wyróżnionym referacie pióra F. Zweiga — przestaje być polityką indywidualistyczną, polityką socjalistyczną lub kapitalistyczną, lecz staje się polityką gospodarstwa społecznego".

Troska o celową rozbudowę instytucji samorządu, jest drogą do realizacji polityki gospodarczej, i spotyka się w społeczeństwie z największem uznaniem.

Instytucje te — to kościec młodej państwowości, idei społecznej organizacji pracy — nie tyle amerykańskiej ile narodowej, najszczerzej polskiej — pracy u podstaw, trudnej i celowej.

Er.



Przybyła do Polski wycieczka naszych rodaków ze St. Zjedn. złożyła wieniec u stóp pomnika Mickiewicza w Warszawie



Senator amerykański James Couzens, który ofiarował ostatnio sumę 10 miljonów dolarów na opiekę nad biednemi dziećmi.



W wyborach do Parlamentu angielskiego rozegra się walka między przywódcami trzech stronnictw liberałami, z Lloydem Georgem na czele,



...Partją Pracy (Labour Party), na której czele stoi b. premjer angielski Mac Donald, widoczny na tej fotografji i...



...stronnictwem konserwatywnem, któremu przewodzi obecny premjer angielski, Baldwin. Spodziewany udział 28 milj. wyborców.



P. Głowacki, naczelnik Wydziału Przedsiębiorstw i jeden z najbardziej zasłużonych kierowników Powszechnej Wystawy w Poznaniu.



Redaktor rumuńskiego „Argusa" p. M. B. Bucur, przybył do Polski celem zebrania materjałów do numeru polskiego tego pisma.



Jubileuszowe uroczystości w Rumunji, na których rząd Rzeczypospolitej reprezentował p. minister Kwiatkowski, dały powód do żywiołowej manifestacji całego narodu rumuńskiego. Na fotografji naszej widzimy b. królowę grecką Elżbietę, księcia regenta Mikołaja, królowę matkę Marję, młodego króla Michała i księżniczkę Helenę. (Wide World Photos).



W tygodniu ubiegłym złożono do grobów rodzinnych w Warszawie zwłoki tragicznie zmarłego bohaterskiego lotnika polskiego, ś. p. por. Szałasa, który rok temu zginął podczas lądowania na lotnisku w Bagdadzie, dokąd doleciał w towarzystwie słynnego asa lotnictwa polskiego kpt. Kaliny. (Zdj. specj. A. Sitkowskiego).

Pomyśl o wyjeździe na Wystawę w Poznaniu.

Wszyscy winni być na Wystawie w Poznaniu!



Ubiegłej niedzieli w katastrofie samochodowej pod Łowiczem zginął śmiercią tragiczną młody, 32 lata zaledwie liczący, artysta teatru „Morskie Oko" ś. p. Witold Konopka - Roland. Żywiołowy młodzieńczy temperament Rolanda, nieprzeciętny talent aktorski, niepospolite zalety umysłu serca, — wszystko to czyni stratę szczególnie bolesną nietylko dla rodziny, kolegów i przyjaciół przedwcześnie zmarłego artysty, lecz i dla wszystkich miłośników teatru. Cześć jego świetlanej pamięci!



Ubiegłej niedzieli odbyła się uroczystość poświęcenia nowej przystani zasłużonego Warszawskiego Tow. Wioślarzy, którego 50-leciu niebawem poświęcimy więcej miejsca. Aktu poświęcenia dokonał ks. biskup Metropolita Ropp. (Fot. R. Walter).



Dnia 23-go maja J. Em. ks. biskup Metropolita Ropp w asyście ks. prałata Około-Kułaka dokonał poświęcenia nowo wybudowanej w Warszawie palarni kawy i paczkarni herbaty znanej firmy Juljan Meinl S. A. (Fot. Piszczatowski).

Ruiny w dziewiczym lesie

Angkor-Vat, 24 kwietnia.
(Copyright by „7 DNI").

Wkraczając do Angkor Tom opuszczonej prastarej stolicy Kambodży, przypominamy sobie bajkę o śpiącej królewnie. Wobraźcie sobie ogromne miasto posiadające rowy, wały i mury obronne; niezliczone świątynie, plac dla rewij wojskowych i igrzysk; tarasy służące jako trybuny dla króla i jego dworu, pałac królewski, zawierający mieszkania dla licznego dworu, apartamenty dla żon i faworytek, baseny bardzo głębokie, całkowicie murowane i ozdobione płaskorzeźbami, ogrody i kaplicę w której co wieczór panującemu ukazywała się NAGI, opiekunka kraju Kmerów; przedstawcie sobie, że takie miasto, żyjące intensywnem życiem religijnem i artystycznem, raptem opustoszało i zamarło zupełnie.

Mimo stanu, w jakim się dzisiaj znajduje, na każdym kroku widać ślady dawnego przepychu, o którym wiemy nietylko ze scen na płaskorzeźbach, ale i z opisów chińskiego podróżnika Czeu-Ta-Kuan, który przebywał w Angkorze w końcu XIII w. i pozostawił nam dokładny obraz życia miasta i dworu.

„Książe jedynie ma prawo używania materjałów kwiecistych. Głowę jego ozdabia djadem złoty podobny do tych, które widzimy na głowach WAZRADAR. Gdy nie nosi djademu, zwinięte włosy okręca girlandami pachnących kwiatów, gatunku jaśminu. Na szyi ma koło 3 funtów grubych pereł; kostki, palce i kiście jego rąk ozdabiają branzoletki i pierścionki ze złota i drogich kamieni. Chodzi boso, a podeszwy i środek rąk ma farbowane na czerwono. Gdy wychodzi z pałacu, dzierży w ręku Święty Miecz. Najwyżsi dostojnicy mają palankiny ze złotemi hołoblami i parasole ze złotemi rączkami.

Gdy książę wyjeżdża, kawalerja wyprzedza orszak; następnie idą poczty sztandarowe i muzyka. Dziewczęta dworu, w liczbie od trzechset do pięciuset, tworzą oddzielną gromadę. Odziane są we wzorzyste materjały, z kwiatami we włosach i trzymają w ręku duże świece, które się nawet we dnie palą. Za niemi idą dziewczęta dworu, niosące naczynia królewskie ze złota i srebra i cały szereg ozdób, wszystko to bardzo różne i do nieznanego mi użytku służące. Potem idą dziewczęta, dzierżące oszczep i tarczę. Stanowią one przyboczną straż księcia. Potem widać powozy, zaprzężone w kozy i konie, wszystkie ozdobione złotem. Ministrowie i książęta siedzą na słoniach i jadą na przedzie, rozglądając się w dali. Ich czerwone parasole są niezliczone. Za nimi jadą małżonki króla, w palankinach, w powozach i na słoniach. Mają więcej, niż sto parasoli przybranych złotem. Za niemi jedzie książę, stojąc na słoniu i dzierżąc w ręku Święty Miecz. Kły słonia są owinięte w złoto. Widać przeszło dwadzieścia parasoli białych ze złotemi rączkami. Liczne słonie go otaczają i świetna jazda".

Niestety! niedługo potem nastąpił upadek potęgi Kmerów. Po szeregu nieszczęśliwych wojen z zachłannymi sąsiadami, napadającymi przeważnie od strony dzisiejszego Siamu, królowie zostali zmuszeni opuścić swój przepiękny gród. W ciągu kilku następnych wieków stolicę przeniesiono wiele razy, aż ostatecznie obrano miejsce nad rzeką Tonlé Sap i założono dzisiejszą stolicę Pnom-Penh.

A Angkor Miasto pozostawiono na pastwę zdobywców, którzy oślepieni nadzieją znalezienia olbrzymich skarbów, nie uszanowali ani powagi jego świątyń, ani świętości jego piękna, aż wreszcie las pokrył, przytulił i schował przed oczyma ludzkiemi starożytną stolicę. Schował ją tak doszczętnie, że nawet pamięć o niej zaginęła. Nazwy, jakie tubylcy nadali olbrzymom kamiennym napotkanym w następstwie w puszczy, nie odpowiadają niczem ich pierwotnemu przeznaczeniu. Mają jednak dużo wdzięku przemawiającego do naszej imaginacji: Prasat Prei — Wieża Leśna; Baksei Chang Krang — Ptak Ochraniający Skrzydłami; Prasat Leak Neang — Wieża kryjówki Pani.

Ruiny Angkoru dzielą się na dwie główne grupy. Do pierwszej, najstarszej, zaliczają się gmachy Agkor Tom czyli Angkor Miasta. Druga składa się tylko z jednej świątyni Angkor Vat: pagoda stolicy. Obie są równie ciekawe i piękne, każda w swoim rodzaju.

Angkor Tom, którego budowę rozpoczął król Zajawarman II w IX w., zachwyca ilością i różnorodnością swych dzieł architektonicznych, ich rozmiarami i bogactwem ich ornamentacyj. Przed tą obfitością rzeźb i płaskorzeźb a szczególniej przed ogromem dokonanego dzieła zapomina się o brakach tej architektury, jej niedokładnościach i wadach technicznych. Nie można rzec, aby była piękną, w każdym razie nie z punktu widzenia klasycznego; jednak ani Forum w Rzymie, ani Akropolis w Atenach nie mogą się równać z Angkorą co do potęgi i siły, które jeszcze uwydatnia otoczenie dzikiej puszczy, niesamowite indochińskie światło i uczucie osamotnienia któremu każdy zwiedzający ulega.

Uścisk lasu, który częściowo uratował od gwałtów ludzkich miasto dawnych Kmerów, został jednocześnie narzędziem całkowitego prawie zniszczenia niektórych gmachów. Trudno sobie wyobrazić siłę i upór tej roślinności. Las kambodżyjski to prawdziwy dziewiczy las, gwałtowny, zachłanny, porastający, wszystko pożerający. W dwa, trzy lata las pokrywa grunta wykarczowane i uprawne, zaciera wszelkie ślady pracy ludzkiej. W Angkorze mury układane bez cementu z olbrzymich brył kamiennych dokładnie ciosanych i dopasowanych, leżą w gruzach, rozparte przez nacisk potwornych korzeni, wijących się jak gady. Niebotyczne drzewa o białych gładkich pniach, rozszerzających się u dołu jak piramidy, królują na stosach misternie rzeźbionych kamieni, z których niegdyś ustawiono świątynie. Wszystkie te drzewa i krzewy dzierżą swą zdobycz jak w szponach, okręcają ją jak ohydne polipy. Oprzędły ją konarami, gałęźmi, gałązkami; zdusiły korzeniami i ljanami; zatopiły zielonem światłem do światła podwodnego podobnem.

Gdy się wchodzi do nawpół rozpadniętej galerji, stanowiącej jedną z głównych części świątyń kmerskich, trudno uprzytomnić sobie gdzie się jest i często nawet kim się jest, taki silny jest czar bijący od tych długich korytarzy zalanych szmaragdowym półmrokiem. Duże kwadratowe otwory, niby okna, zasłonięte jak firanką ślicznie toczonymi kamiennymi szczeblami, oświetlają wnętrze tych przejść miejscami zawalonych zupełnie. Najczęściej zapadło się sklepienie. Przez te wyłomy wzrok dociera do rozlicznych wewnętrznych dziedzińców, zasypanych głazami i zupełnie porośniętych najfantastyczniejszą roślinnością. Legendy o zatopionych miastach przychodziły mi nieraz na pamięć podczas spacerów w Angkorze. W tych miejscach, tak gęsto zasłoniętych drzewami, że nieba prawie nigdzie nie widać, powietrze nawet wydaje się przesiąknięte wszystkimi odcieniami zielonego koloru i drga od gorąca, płynie jak woda. Tylko tutaj zamiast ryb, wolno lecą duże aksamitne motyle... Jaki spokój! Jak stąd daleko do ludzi! Czasem ptak nocny miękkim lotem kryjówkę opuszcza, czasem słychać nawoływanie jaszczurki „gecko", której krzyk przepowiada szczęście



Płaskorzeźba, przedstawiająca tańczące „apsarasy".



Nowoczesne „apsarasy". Jedna z tancerek królewskich, której ruchy rąk są podobne do starożytnych „apsarasów" z fotografji górnej.



Starożytna świątynia na Angkor Vat.

lub śmierć. Ale najpiękniejszy ze wszystkich głosów leśnych jest krzyk małp, który rozbrzmiewa o świcie i nazwany przeto został „hymnem słońca". Nigdy nie słyszałam nic podobnie przejmującego, radosnego i bolesnego zarazem.

Kmerowie, którzy nieznali prawdziwego sklepienia, całą swą architekturę przysposobili do jedynego systemu krycia gmachów, jakie posiadali. Sposób ich był następujący: na szczycie dwuch ścian, które należało złączyć dachem, układało się kilka warstw tafli kamiennych, wysuwając każdą z wyższych płyt nieco więcej w kierunku przeciwległej ściany, tak aż się w końcu wszystko łączyło w rodzaj sklepienia, którego przekrój przypomina schody. Takie sklepienia są z konieczności wąskie, to też nie spotyka się nigdzie większych sal. Plan wszystkich świątyń jest mniejwięcej jednakowy w głównym zarysie. Składają się one z galeryj czy krużganków na wysokich piaskowych podmurowaniach, ustawionych w czworobok. Po rogach i w środku boków wznoszą się wieże, na wylot otwarte, stanowiące przejścia do drugiego mniejszego czworoboku. Wieże są zakończone u góry w kształcie głów cukrowych; prowadzą do nich schody lub ganki. Za drugim rzędem galeryj znajduje się zazwyczaj jeszcze trzeci, zamykający prawdziwe sanktuarjum, uwieńczone największą wieżą.

Angkor Vat, najpiękniejszy okaz architektury kmerskiej w pełnym rozkwicie, stoi nieco na uboczu. Otoczony ogromnemi rowami, leży na swej wyspie wspaniały i poważny. Różni się od klasycznych świątyń Angkor Tom tylko swą doskonałością. Jest jakby urzeczywistnieniem dążeń, poszukiwań i doświadczeń poprzednich wieków.

Moje spotkanie z Angkor Vat miało miejsce przed wschodem słońca. Szarzało, gdy wstąpiłam na groblę, jak trakt szeroką, która poprzez stawy prowadzi do PRASATU czyli pierwszego wejścia. Było wtedy prawie zimno, stawy drzemały zaciągnięte mgłą; w pół ciemności tonęła masa świątyni. Tylko jej pięć wież górowało nad morzem szarości i chwytało pierwsze blaski wstającego dnia.

Ze skupieniem przestąpiłam próg Prasatu i w obramowaniu, drzwi ujrzałam przepiękny widok. Na końcu alei kamiennej ozdobionej Nagami, ciągnącej przez szeroką łąkę, hen daleko, stał Angkor Vat, unosząc ku niebu swe kolejne tarasy, galerje i wieże.

Wejście do sanktuarjum jest zadaniem niełada. Niezliczone schody są strome jak drabiny, a stopnie tak wązkie, że nie można na nich zmieścić pół stopy; do tego są wyszczerbione i gładkie jak lustro. Schody te mają być symbolem trudów, jakie napotykamy na drodze do doskonałości.

Płaskorzeźby, ozdabiające najniższą galerję, przedstawiają legendy panteonu bramańskiego i czyny boga Wisznu. Ta część świątyni jedynie była otwarta dla zwykłych śmiertelników. Do wyższych części mieli dostęp tylko król i kapłani.

Gdy się staje nareszcie na szczycie ostatnich schodów, piękny widok wynagradza wszelkie zmęczenie i karkołomną wyprawę. Cały plan świątyni roztacza się u stóp podróżnika, a wokoło, poza wodą cichych stawów pokrytych różowemi liljami, las mieni się w promieniach zabójczego słońca, kołyszą się bukiety roztrzepanych palm. Tam przez groblę widać ciągnący szereg mnichów w złoto-żółtych sukniach. Upał rośnie i rośnie. Obezwładnia człowieka. Na ścianach wśród koronki delikatnie rzeźbionych liści arabesków i zwierząt, uśmiechają się APSARASY, skrzydlate boginie, których następczyniami na ziemi są tancerki kambodżyjskie.

Obrazy tych bogiń ozdabiają ściany, kolumny, obramowania drzwi i okien. Przedstawione są w tańcu rytualnym, prawie nagie, z głową bogato ozdobioną. Tancerki zachowały do dziś dnia czystą tradycje religijnych tańców o symbolicznych ruchach. Ten rodzaj pantominy przy udziale orkiestry złożonej z bębnów i cymbałów jest nam całkiem niezrozumiały, gdyż każde odchylenie głowy, każdy krok, ma tu swoje ustalone znaczenie. Wrażliwym jest się jednak na wymowną gracje i giętkość tancerek i na ich dziwny i malowniczy strój.

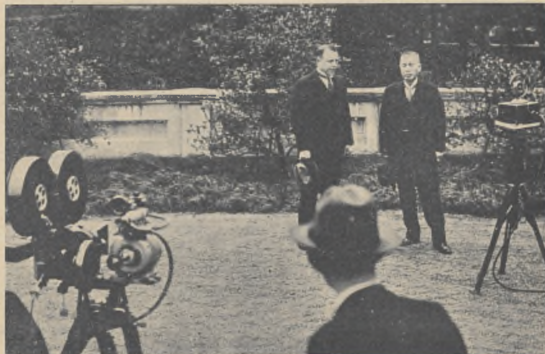
* * *

Czas mija wśród ruin Angkoru z niewypowiedzianą szybkością. Wsiadając do samochodu, który ma mnie zawieźć po świeżo w puszczy wyciętej drodze aż do granic Siamu, żegnam wzrokiem te ruiny, których już pewnie nigdy więcej nie zobaczę. Zamykam oczy, aby utrwalić w pamięci cudowny obraz. Nie mogę się jednak powstrzymać, aby po chwili nie spojrzeć za siebie...

Dzień się ma ku końcowi. Upał bucha z ziemi, jak z gasnącego pieca, powietrze różowieje w promieniach zachodzącego słońca a tam, daleko już, nad zieloną zbitą masą lasu, unoszą się wieże Angkor Vat. Unoszą się straszne i pogodne zarazem jak symbol wiary, która je postawiła.

Adela Skarżyńska.

Potęga srebrnego ekranu



Premjer japoński, baron Tanako, przemawia do filmu dźwiękowego na temat doniosłości zawiązania przyjaznych stosunków pomiędzy Stanami Zjednoczonemi, a Japonją. (Fot. Atlantic).

Niesłychane tempo rozwoju sztuki kinematograficznej zdziałało w krótkim stosunkowo czasie, iż film stał się czynnikiem o pierwszorzędnej wartości kulturalnej, świadczącym poniekąd o samym rozwoju poszczególnych narodów.

Kinematografja przysparza pozatem bogactw materjalnych, stwarzając podstawy dla potężnego przemysłu, zatrudniającego mnóstwo pracowników. Nic więc dziwnego, że polityka filmowa zajęła na świecie jedno z czołowych miejsc, równocześnie z zagadnieniami o ustalonej wartości gospodarczej, jak przemysł, handel międzynarodowy, sprawy taryfowe lub cełne i t. p.

Sprawą tą żywo zajmują się i u nas czynniki miarodajne, starając się nadać postępowi rodzimej wytwórczości odpowiedni bieg i otworzyć dlań szerokie horyzonty na przyszłość.

Krótki zarys produkcji światowej i jej organizacji dowodnie zaświadczy, jak wiele winniśmy jeszcze poświęcić pracy i wysiłków w tej doniosłej dziedzinie, aby skutecznie móc konkurować z innemi krajami, ograniczając choćiażby import filmów.

Zaczniemy, rzecz prosta, od Stanów Zjednoczonych, zajmujących w produkcji światowej pierwsze miejsce.

Kapitał inwestycyjny wynosi w tym kraju 1½ miljarda dolarów, wobec 2,715 miljonów, stanowiących ogólny kapitał, którym operuje produkcja światowa. Przemysł ten zeŝrodkowany jest w kilku „trustach" — z Foxem, Warner Bros i Paramountem na czele. Nowy postęp w kinematografji — produkcja filmów dźwiękowych — wpłynie w znacznym stopniu na zmianę konjunktur rynkowych, gdyż 2/3 filmów wytwarzanych w Stanach Zjednoczonych pójdzie właśnie w tym kierunku, a realizacja ich, jak wiadomo, możliwa bedzie wyłącznie w krajach anglo-saskich. Należy zauważyć przy sposobności, że liczba filmów ulegnie również zmniejszeniu ze względu na wzmożenie kosztów produkcji o blisko 75 procent.

Z pośród krajów europejskich Niemcy współzawodniczą nader wydatnie ze Stanami Zjednoczonemi i zawdzięczają to, jak łatwo się domyśleć, doskonałej organizacji, w której celują we wszelkich dziedzinach życia. Organizacja ta jest zeŝrodkowana w t. zw. „Spitzenorganisation", jednoczącej pomiędzy sobą wytwórców materjału, producentów filmu, artystów, właścicieli „atelier", techników, biura i nawet prasę. Dzięki podobnej zwartości wysiłków zdołano w krótkim czasie wzmóc powodzenie tej sztuki wśród szerokich mas, o czem świadczy wzrost liczby kinoteatrów, który mimo ciężkich konjunktur, przeżywanych przez naród niemiecki osiągnął w okresie 10-lecia około 100 proc. Produkcja niemiecka wynosi blisko 200 filmów rocznie, nie licząc obrazów dydaktycznych i propagandowych, których wytwarzają około 800 rocznie.

Za Niemcami idzie Francja, w której film nie osiągnął należytego powodzenia wśród społeczeństwa. Dość powiedzieć, że zaledwie 7 proc. ludności uczęszcza do kinoteatrów.

Anglja natomiast jest krajem szeroko otwar tym dla filmu, a zwłaszcza dla produkcji amerykańskiej, która przypadła do gustu publiczności. Produkcja krajowa jest nader nikła i w ostatnich czasach dopiero zaczyna się rozwijać dość wydatnie dzięki przymusowi.

Dziwnem atoli zjawiskiem jest fakt, iż Italczycy, których filmy cieszyły się dawniej dość znaczną wziętością, odpadli na szary koniec, a produkcja ich traci wszelkie walory rynkowe i artystyczne. Dziwne zaiste — zwłaszcza wobec naturalnego pociągu do sztuki...

Godną natomiast zanotowania jest produkcja japońska, dorównująca niemal wytwórczości całej Europy i przekraczająca ilość filmów Niemiec, Francji Sowietów i Anglji razem wziętych.

Produkcja w naszym kraju jest mniejsza nawet od skandynawskiej i nie przekracza, jak wiadomo, kilkunastu filmów rocznie. Stoimy wszelako w przededniu zarządzeń, które wywierając zasadnicze zmiany w polityce filmowej przyczynić się mogą do wydatnego wzmożenia tempa pracy. Dawno oczekiwaliśmy pewnej inicjatywy w tej mierze, zwłaszcza wobec nader ciężkich konjunktur finansowych, dla których niezmiernie cennem będzie ograniczenie importu, a przez to zmniejszenie wywozu waluty zagranicę.

Trudno przewidzieć oczywista jak dalekie poczynimy postępy. Jedno tylko jest na razie widoczne, że zainteresowanie ze strony kapitału wzmaga się z każdym dniem — a to jest przecież najważniejsze!...

Er.

BRUNO WINAWER.

Tajemnica czarnej skrzynki

Nasze wynalazki techniczne tkwią — oczywiście „w zalążku" — w klechdach, bajkach, podaniach ludowych, legendach. Jeżeli zastanowimy się głębiej nad tem, co sławetna Szecherezada opowiadała potężnemu sułtanowi po nocach, dojdziemy do prostego wniosku: wykładała mu w pocie czoła przez jedenaście kwartałów początki aeromechaniki (fruwające kobierce), to i owo z optyki, coś niecoś z elektrotechniki. I bajki Grimma, i pomysły E.T.A. Hoffmanna i powieści Verne'a i byliny rosyjskie, odlane ze stali, zamienione na miedź czerwoną, białe aluminjum i lśniący nikiel, oglądać dziś można na ulicach miast, w portach morskich, na lotniskach i na zwykłych szosach.

Taka już jest widocznie kolej rzeczy ludzkich: co sobie poeta natchniony wymarzy przy dźwiękach lutni, to mu jego daleki wnuk, inżynier — nie tracąc słów napróżno — buduje ze sprężystej blachy... Pajęczynę lotnych snów zamienia na przewodniki elektryczne.

I jednej tylko fantastycznej bajdy nie znajdziemy ani w opowieściach arabskich, ani w balladach romantycznych, ani w sagach norweskich... Ten poemat stworzyliśmy my dopiero, my ludzie trzeźwi, prozaiczni, praktyczni. Zbudowaliśmy nieprawdopodobną klechdę z kilku szpulek drutu izolowanego, kilku blaszek, płytek ebonitowych i kilku baniek szklanych. Radjo!...

Gdybym był Szecherezadą (na co mi, niestety, ani płeć ani uroda nie pozwala) szturgnąłbym łokciem potężnego władcę, zbudził go ze snu, i opowiedział mu taką historyjkę.

— Niechno pan uważa, panie królu, Zdarzyło się razu pewnego, że gromadka lekkomyślnych podróżników z pod jasnego nieba słonecznej Italji poleciała na fruwającym dywanie aż do krainy wiecznych lodów i białych niedźwiedzi. Trafili na mocne wichry, na zamieć, mgłę, zbłądzili i zły los wyrzucił ich na krę lodową. Siedzą na pływającej zimnej tafli — wokół śnieg, woda, lód, lód, woda, śnieg i przeraźliwa biała cisza. Zgubieni, straceni, odcięci od świata czekają na śmierć... Raptem jeden z nich, telegrafista, chwyta kilka drucików, które spadły razem z nimi z kobierca na lodowiec, ustawia kilka słoików szklanych, zawiesza na kiju metalowy sznurek, przykłada słuchawkę do ucha, uśmiecha się i mówi: Rzym! Słyszę wyraźnie stację rzymską. *Stazione radiofonica di Roma.* Już wiedzą o katastrofie. Organizują pomoc.

Ludzie bowiem, kochany sułtanie, taki posiadali słuch subtelny w owych czasach, że mogli się nawoływać przez lądy, morza i łańcuchy górskie.

— Bzdury! — powiedziałby sułtan. (Zupełnie, jak w pewnej nowelce Edgara Poego).

— Nie bzdury! Królu, uważaj, co mówię: dzięki pewnej czarnej skrzynce kwilenie dziecka stało się potężniejsze od ryku zgłodniałego lwa. Głos ludzki, zamieniony na fale elektryczne, docierał do najdalszych krańców ziemi, a nawet jeszcze dalej. W roku 1927-ym, zimą, pewien skromny właściciel taniego elektrycznego ucha spostrzegł nagle, że słyszy to i owo *podwójnie.* Słowa obijały się bowiem prawdopodobnie o sąsiednie planety i człowiek ów chwytał *echa* z kosmosu...

— Brednie! Wierutne brednie! — rzekłby sułtan. — Kłamstwo!

Trudno się dziwić staremu brodatemu Arabowi, że nie wierzy w radjotelefon. Mądrzejsi od niego nie rozumieją, co to się takiego dzieje właściwie i skąd się wziął raptem ów cud techniczny.

Komisja statystyczna Ligi Narodów twierdzi, że jest już w tej chwili *70 miljonów* radjoamatorów na świecie, że *ćwierć miljarda* ludzi we wszystkich krajach zapala co wieczór lampki, łączy bateryjki, nakłada słuchawki telefoniczne, ale „tajemnica czarnej skrzynki" dręczy nas wciąż jeszcze. Co tam ukryli w tem pudle genjalni uczniowie Faradaya, Hertza i Marconiego? Jakim sposobem słyszymy głosy ze sterowca, fruwającego nad Atlantykiem, jak rozmawia komandor Byrd, który osiadł na straszliwych polach lodowych pod biegunem Południowym, z redakcją pisma nowojorskiego?

Jeszcze wczoraj trzeba było wozić przewodniki, kable z miejsca na miejsce, drutować tę biedną skorupę ziemską, jak rozbity garnek... Dziś — jedziemy na bezludną wyspę, na pustynię azjatycką, do Hotentotów, Eskimosów, ludożerców, zawieszamy antenę na kijku i słyszymy Paryż, Rzym, Wiedeń, Londyn, Warszawę... Jutro w ten sam sposób będziemy przesyłali obrazy dalekim odbiorcom, pojutrze — kto wie — może nawet energję elektryczną. Połączyliśmy się wszyscy niewidzialnemi nićmi. Robinson Cruzoe, który nas tak wzruszał za lat dziecinnych, dziś nie byłby samotny i opuszczony. Cośby tam sobie zmajstrował, pokręcił i... po godzinie prasa europejska podałaby pierwszą wiadomość sensacyjną o jego przygodach.

Od jakich to dziwnych przypadków dzieje ludzkości zależą! Wyobraźmy sobie, że Juljusz Cezar miał odbiornik radjowy, albo Krzysztof Kolumb, albo Napoleon Bonaparte. Całą historję trzebaby zmienić, geografję polityczną przefarbować, wszystkie mapy i atlasy. Podboje Aleksandra Macedońskiego? wojny krzyżowe? wędrówki narodów? odkrycie Ameryki, izraelici na pustyni? — *poślijcie w przeszłość* zdolnego montera - elektrotechnika, a zobaczycie, jakiemi nowemi nieoczekiwanemi drogami świat się potoczy!...

Cóż tedy tkwi w owej ciemnej, tajemniczej skrzyni?

Co to jest radjo?

Stworzyli je właściwie dwaj genjalni fizycy, Michał Faraday i Henryk Hertz. Dowiedli doświadczeniami laboratoryjnemi, że prąd elektryczny w pewnym obwodzie — w zwojach drutu — można wywołać „na dystans", nie dotykając tych drutów palcami. W muzyce mamy zjawisko podobne i nazywamy je *rezonansem.* Kiedy dzwony w mieście grają— niektóre struny w fortepjanie dźwięczą głośno i niektóre szyby wydają brzęk. Kiedy na Mokotowie albo w Daventry „drga elektrycznie" wielka antena, wiedzą o tem wszystkie druty na świecie (zwłaszcza o ile są odpowiednio nastrojone) — przebiega po nich dreszcz niewyczuwalny, elektryczny.

Reszta — to kilkanaście lat wytrwałej pracy dzielnych radjotechników. Trzeba było te prądy, te niematerjalne dreszcze odpowiednio wzmocnić, ujawnić, przekształcić, zamienić na drgania membrany w słuchawce telefonicznej... Teraz — gdyby na Marsie siedział „odbiorca radjowy", dotarlibyśmy prawdopodobnie i do niego. Fale elektryczne mkną przez eter i przestrzenie kosmiczne, jak fale światła.

Za lat kilka człowiek, który tych fal nie będzie chciał czy umiał chwytać aparatem odbiorczym, będzie poprostu uchodził za nieszczęśliwego kalekę, jak dziś głuchoniemy, albo analfabeta.

Co słychać na świecie?

ANGLJA. Niedawno bawiła w Rosji grupa przemysłowców angielskich, której rząd Sowietów przyrzekł rzekomo zaprzestania propagandy antyangielskiej, oraz nawet częściową spłatę zobowiązań przedwojennnych, na wypadek wyrażenia przez Anglję zgody na podjęcie normalnych stosunków z Sowietami. Niewiadomo na razie czem kierowały się pewne sfery angielskie, kolportując tę wiadomość. Faktem atoli jest, iż ostatnie wypadki na arenie politycznej, wywołały większy aniżeli dotychczas rozdźwięk pomiędzy Rosją a Anglją. Przedewszystkiem więc attache ang. płk. Martin, witając się z ciałem dyplomatycznem podczas uroczystości wojskowych w Biedrusku pod Poznaniem, ostentacyjnie pominął przedstawiciela Sowietów. Powtóre, definitywna klęska Amanullacha i wygnanie go z Afganistanu, wywołać musiało supremację wpływów angielskich w Afganistanie, a więc w konsekwencji obniżenie wpływów rosyjskich. Nie wiadomo jeszcze jak ukształtuje się wzajemny stosunek tych państw. Można jednak z góry przewidzieć, iż im większa przepaść dzielić będzie Anglję od Rosji, tem większe prawdopodobieństwo uznania Rosji przez U. S. A.

FRANCJA. Obrady w sprawie spłat reparacyjnych trwają nadal. Pewien wpływ na ich przebieg, będzie miał zapewne charakterystyczny fakt, zabrania przez D-ra Eckenera na Zeppelinie 6 oficerów francuskich w pełnem umundurowaniu. Oficerowie ci byli entuzjastycznie przyjmowani, jako goście niemieccy, po wylądowaniu Zeppelina w Friedrichshafen.

ROSJA. W Rosji szaleje głód. W kraju tym, który przez tak długie lata był „śpichrzem" Europy, wprowadzono kartki na chleb, jak za najlepszych czasów wojennych. Teraz dopiero w całej pełni wychodzi na jaw bankructwo systemów bolszewickich. Błąd zasadniczy jaki popełniono, polegał na obdzielaniu chłopa ziemią. Chłop bowiem był tak długo komunistą, jak długo nie miał ziemi. Z chwilą gdy ją otrzymał, zaczął zwalczać komunizm. Z tych to sfer płyną bardzo silne obecnie ruchy antykomunistyczne, które uzewnętrzniają się przedewszystkiem w masowem mordowaniu komunistów, podejrzanych o denuncjowanie włościan, ukrywających zboże. Równocześnie w sferach politycznych daje się odczuć silne podszczuwanie antypolskie, czego dowodem była chociażby tylko ostatnia mowa premiera rosyjskiego Rykowa w Moskwie. Ton, w jakim mowa ta była utrzymana, spowodował opuszczenie sali przez naszego posła p. Patka. Jest faktem niezaprzeczalnym, iż Rosja stoi obecnie przed przesileniem, którego przebieg trudno przewidzieć.

LITWA. Student Wosilius został rozstrzelany. Tem niemniej daje się obecnie na Litwie wyczuć zmiana kursu, która kto wie czy nie doprowadzi do ustąpienia Waldemarasa i jego kliki.

NIEMCY. Muszą czuć mocny grunt pod nogami, skoro chcą z nami „dyskutować" nad kwestją korytarza. Mają czelność twierdzić, iż „nigdy" nie pogodzą się ze swojemi stratami terytorjalnemi i jakby na dowód tego urządzają obecnie wielkie manewry lotnicze w Prusach Wschodnich. Krwawa lekcja dana niedawno komunistom na ulicach Berlina snać nie jest wystarczającą. W związku z proklamowanym przez Sowiety świętem „Czerwonego Dnia", pojawiły się w Berlinie afisze, które wzywają komunistów do wykorzystania „doświadczeń" ubiegłych walk w Berlinie i zdobycia ulic miasta dla proletarjatu. W dniu 1.VIII b. r. należy się przeto spodziewać powtórnych ekscesów niemieckich komunistów w Berlinie i innych miastach.

RUMUNJA. Rząd rumuński zamierza iść śladem Ameryki i „osuszyć" kraj. Wydano już odnośne rozporządzenia, zmierzające do ograniczenia handlu alkoholem.

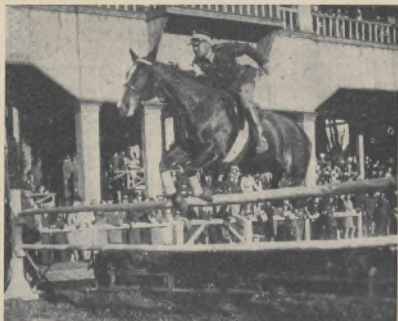
POLSKA. P. W. K. w Poznaniu spotyka się z rzeczywistym entuzjazmem nawet wrogich nam czynników zagranicą. O silnej frekwencji świadczy fakt, że do dnia 22-go b. m. zwiedziło wystawę ponad 150 tysięcy osób. Mimo, iż niedawna wizyta naszego ministra spraw zagranicznych w Budapeszcie miała charakter wyłącznie kurtuazyjny, to jednak należy stwierdzić, iż Węgry przywiązują do niej wielką wagę. Mają bowiem nadzieję, iż Polska weźmie na siebie rolę pośrednika, celem przyczynienia się do poprawy stosunków pomiędzy Węgrami z jednej, a Francją i Rumunją z drugiej strony. Rokowania polsko-niemieckie, które mają uregulować wreszcie naszą współpracę gospodarczą z Niemcami, przebiegają pomyślnie i — jak słychać — są już na ukończeniu.

Ja...el.

Międzynarodowe konkursy hippiczne w Warszawie



Porucznik Rojewicz zeszłoroczny zwycięsca „Puharu Narodów" (Fot. Światowid)



Rotmistrz Antoniewicz, zeszłoroczny zwycięsca konkursu „św. Jerzego" (Photo - Plat)

Towarzystwo Międzynarodowych i Krajowych Zawodów Konnych w Polsce organizuje w czerwcu roku bież. pod wysokim protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej już trzecie z rzędu międzynarodowe zawody, na specjalnie przystosowanym terenie w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

Konkursy warszawskie mają już ustaloną opinję w całej Europie. W konkursach tegorocznych przyjmują udział znakomici jeźdźcy ośmiu państw, między którymi znajdują się nagrodzeni pierwszemi i dalszemi nagrodami na Olimpjadzie w Amsterdamie, jak major Ventura (Czechosłowacja), major Chamberlain i kapitan Bladford (Ameryka), oraz czołowi jeźdźcy armji francuskiej, czechosłowackiej, rumuńskiej, węgierskiej, włoskiej, ponadto asy armji i jeździectwa polskiego w osobach ppułk. Rómmla, rtm. Antoniewicza, rtm. Królikiewicza, por. Starnawskiego, por. Rojcewicza i innych.

W sobotę dnia 1-go czerwca nastąpi otwarcie konkursów. O godz. 15-ej prezentacja wszystkich ekip, następnie zostanie rozegrany konkurs międzynarodowy imienia szefa sztabu głównego, gen. Tadeusza Piskora i konkurs krajowy, nagroda honorowa Pani M. Zandbang. W następnych dniach odbędą się konkursy wytrzymałości i pewności, potęgi skoku i szybkości. W szóstym dniu zawodów rozegrany zostanie „Puhar Narodów", oraz konkurs im. Św. Jerzego z udziałem pań i jeźdźców cywilnych. Zaznaczyć należy, że w tym roku po raz trzeci będzie rozegrany konkurs o „Puhar Narodów", który przez dwa lata z rzędu był zdobyty zwycięsko przez naszych jeźdźców i o ile obecnie zostałby zdobyty, przeszedłby na własność polskiej ekipy.



„Puhar Narodów" (Fot. Prasa)

Prawdziwą atrakcją są konkursy z udziałem pań i konkursy młodego pokolenia, w których to konkursach przyjmą udział dobrze znane naszej publiczności amazonki, panie Chodkiewiczówna, Juchniewiczówna, Sikorska Czaykowska, bar. Berg-Micewska (Węgry) oraz inne.

Konkursy czerwcowe będą prawdziwym ewenementem stolicy, z racji wysokiej klasy wszystkich jeźdźców i dużej rozmaitości konkursów.

Ze staropolską gościnnością witając wspaniałych jeźdźców cudzoziemskich, sercem jesteśmy z naszymi dzielnymi kawalerzystami, którzy, szeroko rozsławiwszy po świecie imię jazdy polskiej, stają teraz do ostatecznej rozgrywki o słynny „Puhar Narodów".

Prześwietna Jazda Polska — niech żyje!

Tadeusz Hanusz.



Prezentacja przed Panem Prezydentem Rzeczypospolitej ekip biorących udział w konkursach hippicznych w Poznaniu. Na naszej fotografji widać ekipy: amerykańską, włoską, francuską i węgierską. (Fot. Światowid)

Maszyna piekielna

NOWELA AMERYKAŃSKA.

Bob Trenton, detektyw prywatny, wyszedł z gabinetu mr. Parkera z miną tak przygnębioną, że oczekująca go w sąsiednim pokoju Jane domyśliła się odrazu, co zaszło.

— Stary nie pozwolił?

Bob kiwnął głową i strapiony usiadł w fotelu.

— Odmówił bez apelacji.

— I co teraz będzie?

Młody detektyw melancholijnie spojrzał w sufit.

— Czy przynajmniej nie pozostawił jakiejś nadziei na przyszłość?

— Nic. Absolutnie nic. Wiesz, co mi powiedział?

— No?

— Że jest mi niezmiernie wdzięczny za wykrycie sprawców kradzieży w Northern Comp., ale że honorarjum już otrzymałem, a on swej wdzięczności nie myśli posuwać aż do oddania mi — ciebie...

— Dobrze, ale jeżeli ja tego chcę?

— W takim razie powiedz mu to!

— Powiem! — zawołała Jane. — Powiem, że się utopię, że skoczę pod auto, że ucieknę do Europy...

— Doskonale!

— Że narobię długów...

— Świetnie!

— Idę!

Zniknęła w drzwiach gabinetu, i po długiej chwili wróciła z wyraźnemi śladami łez na twarzy.

— Nie trzeba być detektywem — rzekł Bob — aby odgadnąć, co między wami zaszło.

— Papa jest okropny! — westchnęła Jane, siadając obok Trentona.

— Cóż powiedział?

— Zagroziłam mu samobójstwem, i... i...

— Roześmiał się?

— Tak! — zawołała z rozpaczą Jane. — Potem oświadczyłam, że ucieknę do Europy, a on...

— Powiedział, że cię zamknie w domu?

— Gorzej! Zaofiarował mi na podróż otwarte konto w banku...

— Mądry stary! — mruknął Bob z uznaniem.

Siedzieli przez chwilę w smutnem milczeniu.

— Co teraz będzie? — spytała wreszcie Jane.

— Nawet bywać u nas nie możesz...

— To ostatnie, to jeszcze najmniejszy kłopot! Umiem wchodzić po murze — i byle okno było niezamknięte...

W tej chwili mr. Parker z hałasem otworzył drzwi gabinetu.

— Chodź, Jane! — zawołał. — A pan jeszcze tu?

Detektyw skłonił się i wyszedł, zamieniwszy z Jane porozumiewawcze spojrzenie.

Tego samego wieczoru Jane i cała służba mr. Parkera zaalarmowani zostali głośnemi klątwami, dobywającemi się z gabinetu wielkiego finansisty.

— Co się stało? — zawołała Jane, wbiegając.

— O łajdaki! — wrzeszczał mr. Parker, miotając się po pokoju z furją, nie licującą z jego wiekiem i stanowiskiem. — O łotry! I co jest warta cała policja, jeżeli podobne fakty mogą mieć miejsce...

— Co się stało, papciu?

— Masz! Czytaj ten świstek, który niewiem jakim sposobem zawędrował na moje biurko. O szelmy!...

Jane wzięła kartkę zapisaną maszynowem pismem.

„Szanowny Panie! Jutro, idąc na giełdę, zechce pan łaskawie zgubić koło pierwszej bronzowej latarni portfel z 30.000 dolarów. Jeden z naszych ludzi będzie szedł za panem. Przekonani o pańskiej grzeczności i dyskrecji, dziękujemy z góry.

Szajka Trzydziestu.

P. S. Załączamy przy niniejszem wycinki z gazet, które poinformują pana, jak postępujemy w wypadku nielojalności, zawiadomienia policji, lub wręczenia fałszywych pieniędzy".

List był zaopatrzony w pięć trójkątnych czerwonych pieczęci, a rzeczone wycinki informowały o strasznych zamachach bombowych, podpaleniach i morderstwach.

— No, czy nie łajdaki? — pytał mr. Parker.

— Co myślisz zrobić, papciu?

— Naturalnie, że pieniędzy nie dam. Tych ślamazarów z policji fatygować nie warto, więc zabezpieczę się przez detektywów.

— Bob jest bardzo zdolny, i...

— Nie mów mi o nim! — wrzasnął finansista. Jedyną w tej chwili partją dla ciebie mógłby być Thompson...

— Ten idjota? — jęknęła Jane.

— Nie jest idjotą człowiek, który potrafił zarobić pięć miljonów w ciągu dwóch lat..

— Ależ on, papciu...

— Dość! — przeciął Parker. — Zaprosiłem go na jutro na obiad.

Jane wyszła ze zwieszoną głową, a w pół godziny później opowiedziała detektywowi całą historję.

— Z Thompsonem mamy jeszcze czas — rzekł Bob. — Możesz odkładać to małżeństwo choćby przez pół roku.

— Nawet się jeszcze nie oświadczył...

— Właśnie. Ja z mojej strony postaram się w ciągu paru dni wykryć „Szajkę Trzydziestu", i...

Czyjeś kroki rozległy się w korytarzu, więc Bob czemprędzej dał nura przez okno.

Nazajutrz, mimo czujności pięciu detektywów, mr. Parker znalazł nowy list na swojem biurku.

„Dziwi nas pańska niepunktualność. Za karę żądamy pięćdziesięciu tysięcy. Jutro termin ostatni".

Bankier po przeczytaniu tej epistoły napełnił cały dom klątwami, zwymyślał Jane, detektywów i służbę, i postanowił mimo wszystko pieniędzy nie dawać.

Zresztą, mało miał czasu na irytację, bo wkrótce, ku utrapieniu Jane, przyszedł mr. Thompson.

Późnym wieczorem Bob, zmyliwszy pięciu detektywów, wślizgnął się do ogrodu. Już miał wspiąć się po rynnie do okna, gdy uwagę jego zwróciła jakaś ciemna postać, skulona pod krzakiem. Podszedł bliżej. Nieznajomy zerwał się do ucieczki, ale Bob chwycił go silnie i wykręcił twarzą do światła.

— Dobry wieczór, Malone — rzekł przyjaźnie.

— To pan, panie Trenton?

— Jak widzisz. Coś tu chciał zwędzić, stary draniu?

— Ja... ja przysięgam, że nic... ja...

— Ach! — zawołał detektyw, orjentując się nagle. To ty jesteś tą „Szajką Trzydziestu?".

— Tak, panie, ale...

— Przerzuciłeś się na morderstwa?

— Nie! — skamlał Malone. Ja jestem uczciwy złodziej, pan wie... Czytałem, że inni zarabiają pogróżkami, i chciałem też sprobować, może się uda. Ale morderstwo — nigdy! Pan przecież wie...

Bob uśmiechnął się — ale zaraz rzekł bardzo groźnie:

— Słuchaj, Malone! To robota nie dla ciebie. Wiej stąd czemprędzej. Gdybyś tu kiedy wrócił, pamiętaj: znajdę cię zawsze.

— Wiem. Nie wrócę.

— Ale, ale. Masz przy sobie pieczęcie „Szajki Trzydziestu?".

— Mam.

— Dawaj. A wyjdź lewą furtką, bo przy prawej jest detektyw. Dobranoc.

— Dziękuję bardzo!

Malone zniknął w cieniu krzaków, a Bob wdrapał się szybko po murze.

— Źle! — powitała go Jana. Thompson się oświadczył.

— Głupstwo! — rzekł Bob.

— Ależ człowieku, pojutrze będą zaręczyny!

— Tak, ale zemną.

— ?

— Rozmawiałem przed chwilą z „Szajką Trzydziestu". A teraz posłuchaj mego planu.

Usiedli obok siebie, i do późnej nocy opracowywali szczegóły.

Nazajutrz mr. Parker otrzymał nowy ! st.

„Po raz drugi zawiódł pan nasze oczekiwania. Wobec tego czujemy się w prawie zwiększvć żądanc sumę do 100.000 dol. Ostrzegamy, że dalsza zwłoka pociągnie za sobą straszliwe konsekwencje".

List opatrzony był aż siedmioma czerwonemi pieczęciami i wielkim czarnym krzyżem. Mr. Parker uzbroił całą służbę, sprowadził jeszcze pięciu detektywów, przestał wychodzić z domu, wszystkie sprawy załatwiając telefonicznie — ale pieniędzy postanowił nie dawać.

Cała doba minęła spokojnie w domu, strzeżonym jak forteca — aż wreszcie nadszedł dzień zaręczyn Jane z Thompsonem.

Około godz. siódmej przed pałacyk mr. Parkera poczęły zajeżdżać wspaniałe auta zaproszonych gości: Mr. Parker, okazujący od dwóch dni silne zdenerwowanie — że nie powiemy: trwogę — teraz, wśród tylu osób, odzyskał równowagę i godnie czynił honory domu.

O siódmej minut trzydzieści do pokoju Jane wślizgnął się Bob.

— Wszystko załatwione — rzekł.

— Nie złapali cię?

— Jak widzisz. „Maszynka" stoi na właściwem miejscu, a klucze od piwnicy dla pewności zabrałem ze sobą. A teraz telefon. Jaki jest numer gabinetu twojego ojca?

Bob ujął ozdobny mikrofon, leżący na biurku Jane.

— 220-193. Tak. Hallo? Proszę wezwać mr. Parkera. Tak. Pilne. Czy mr. Parker? Mówi „Szajka Trzydziestu". Co? Że łajdaki? Może być. Tymczasem pan nie spełnił naszej skromnej prośby. Co? Szubrawcy? Bardzo nam przyjemnie. A teraz niech pan słucha. Umieściliśmy w piwnicy pańskiej maszynę piekielną, nastawioną na godz. 7.45. Chcemy uniknąć ofiar w ludziach; zniszczenie pałacu będzie narazie karą dostateczną. Co? Klucze od piwnicy zabraliśmy. Łajdaki? Być może. Wyłamie pan drzwi? Lepiej nie, bo wybuch nastąpiłby natychmiast. Radzimy pospieszną ewakuację. Co? Szubrawcy? Jest pan źle wychowany, panie Parker. Dowidzenia.

Bob położył słuchawkę i oboje z Jane tarzali się ze śmiechu dobre pięć minut, poczem detektyw schował się do szafy, bo lada moment mógł ktoś nadejść.

Tymczasem w domu działy się rzeczy niesamowite. Mr. Parker, pobiegłszy do piwnicy, zastał drzwi zamknięte, złowił tylko uchem niejasny szmer mechanizmu piekielnej maszyny. To mu wystarczyło. Spojrzał na zagarek: za dziesięć minut miał nastąpić wybuch. Nie było rady: oznajmił sytuację gościom. Trzydziestu gentelmanów, tyleż pań, służba, detektywi — wszyscy runęli przez drzwi, korytarze i schody, gniotąc jedni drugich i wrzeszcząc w niebogłosy. Tłum wypadł na ogród, stratował klomby, i oparł się dopiero w odległości dobrych stu metrów od zagrożonego domu.

— Czy są wszyscy? — spytał Parker.

— Niema miss Jane! — zawołał ktoś.

— Jane! Jane! — zaczął wołać Parker. Całe towarzystwo pobiegło bliżej domu, krzycząc na różne głosy.

Nagle Jane ukazała się w oknie pierwszego piętra.

— Zejdź na dół! — zawołał mr. Parker. Za chwilę dom wyleci w powietrze!

— Wszystko mi jedno — rzekła Jane. Papa nie zgodził się na mój ślub z Bobem, wolę więc umrzeć...

— Ona zwarjowała! — wrzasnął Parker.

— Mr. Thompson, niech pan pójdzie i ściągnie ją do nas!

Mr. Thompson spojrzał na zegarek.

— Za dwie minuty wybuch — rzekł spokojnie. Nie głupim ryzykować.

— Bydlę! — mruknął Parker. — Ach, Jane, zejdź nareszcie!

— Wolę umrzeć! — rzekła głosem męczennicy.

— Tak, umrzemy razem! — zawołał Bob, ukazując się obok niej.

— I ten warjat tam? — Mr. Parker złapał się za głowę, zdesperowany ostatecznie. — Złaźcie zaraz, szaleńcy!

Jane zrobiła się uroczysta.

— Pozwalasz, papciu, na mój ślub z Bobem?

— Pozwalam, tylko zejdźcie! — błagał Parker.

— Przy świadkach! — zastrzegł Bob.

— Tak, tylko zejdźcie już, na miłość Boską!

Bob i Jane spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się.

— Nie warto schodzić, papciu. Chodźcie wszyscy do nas.

— I niech pan każe przynieść z piwnicy szampana — dorzucił Bob.

— Boże! A maszyna piekielna? — jęczał Parker. Słyszałem wyraźnie szmer mechanizmu!

— Niech pan każe przynieść szampana — rzekł Bob — i niech pan powie służbie, aby nie uszkodziła budzika, który postawiłem w piwnicy pół godziny temu.

To bardzo ładny budzik...

Konrad Jan Piotrowski.

Czy wiecie że...

...niedawno temu uruchomiono na linji kolejowej Monachjum — Norymberga lokomotywę o popędzie turbinowym. Maszyna ta jest o wiele lżejsza i zużywa prawie o połowę mniej paliwa, aniżeli maszyny dotychczas używane.

*

...próby skomunizowania państwa znane były w Chinach już od dawna. Mianowicie w okresie między VII a XII wiekiem były Chiny widownią wielkich socjalistycznych ruchów, które zakończyły się wprowadzeniem ustroju komunistycznego przez cesarza Shen-Tsang.

*

...miasto Niniwa, zbudowane według podań przez króla Ninusa, miało 100 kilometrów obwodu. Okolone było murem wysokim na 30 metrów, posiadającym 1500 wieżyczek o wysokości 60 metrów.

Romantyzm podróży

Podróżować!

Ile ukrytych pragnień mieści w sobie to cudowne słowo! Ile zaklętych w niem nadziei i radości!... ile nieraz gorzkich zawodów i smutku!

Uciec od szarej teraźniejszości! odetchnąć pełną piersią innem powietrzem! zanurzyć się ciałem i duszą w przepastnej głębi nieznanych krain! odczuć potężne tętno życia i rytm wszechświata! poczuć się drobnym pyłkiem w bezkresach przestrzeni! Na skrzydłach fantazji ulecieć, na stalowo-srebrnym ptaku w podniebne przestworza, popłynąć na pokładzie luksusowego kolosu oceanicznego, ścigać się z wiatrem szybkobieżną limuzyną, lub miękim przytulnym pulmanem...

W podróży życie nabiera całkiem nowych barw. Zmysły nasze, stępiałe w codziennej monotonji, zaostrzają się. Otwierają się przed nami nowe, dotychczas niedostrzeżone horyzonty, odczuwamy niespotykane bogactwo upojnych wrażeń.

Dalekie podróże pozwalają nam odczuć całe naturalne piękno tego, co mogliśmy do tej pory oglądać na srebrnych ekranach lub wyczytać w książkach. Ujrzeć na własne oczy lazur włoskiego nieba, tajemnicze głębie lasów podzwrotnikowych, tonące w słońcu i szczęściu wyspy mórz południowych. Stanąć olśniony potęgą dzieł mózgów i mięśni ludzkich. Kraina przygód i niespodzianek nęci nas przepychem swych bogactw, wymarzonych rozkoszy i złudnych obietnic. Ubrana w najcudniejsze szaty lśniące od ziszczonych pragnień, kryje jednocześnie w swym cieniu tysiączne niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwa te niepowstrzymają jednak prawdziwych smakoszów podróży. Wprost przeciwnie, stają się dlań podnietą i nieodzowną przyprawą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Katastrofa! Piekielny stuk i jęk łamiących się w drzazgi wagonów! Ogłuszający ryk rozsadzanego kotła parowozu! Brzęk tłuczonych szyb i zgrzyt ścierającego się na proszek żelastwa, a potem przez chwilę martwa cisza... I znów wybuch ogłuszających wrzasków bólu i radości. Bólu rannych i radości zdrowych. Piękna pani szczęśliwa, że wyszła cało z katastrofy cieszy się jak małe dziecko. Nieomal skakałaby z radości do góry. Taki straszny wypadek i takie szczęście!...

Dopiero później przychodzi uczucie litości i miłosierdzia dla ofiar. Obserwując ten kontrast z oddali wydaje się to nieludzkiem, a jednak jest to tak bardzo ludzkie. Zrozumiałym wydaje mi się teraz wypadek jednej małej murzynki, który wydawał mi się początku okrutnym. Oto murzynka ta przybiegła do wsi klaszcząc z radości w dłonie, zaczęła krzyczeć w uniesieniu, że krokodyl pożarł jej siostrę. Ktoś, oburzony tym brakiem serca, zaczął ją strofować i spytał się czemu przypisać należy tę jej radość. Na co śmiejąc się odpowiedziała mu, że cieszy się z tego powodu, że nie ona została pożarta.

Widzę, że piękne panie, czytając te słowa, wzdrygnęły się z obrzydzenia. Zgoda. Ale pozwolę sobie na jedno małe zapytanie: Czemu należy przypisać, że podczas wyścigów automobilowych najniebezpieczniejsze zakręty obsadzone są przez wykwintne damy? dlaczego podczas krew ścinającego w żyłach wypadku na ulicy widać wiele kobiet torujących sobie drogę łokciami do pierwszego rzędu ciekawego tłumu? dlaczego każda z pań najsumienniej studjuje w gazetach kronikę wypadków i morderstw, niemal pochłaniając długą listę zabitych i rannych? Oto dlatego, że kobieta odczuwa pełnię życia w obliczu śmierci. Dlatego, że odczuwając wszystko sercem, przeżywa piękne chwile niecodzienności. I dlatego namiętnie szaleje za podróżami. Znajduje w nich najlepsze lekarstwo na splen i na niechęć do życia. Drogą konfrontacji życia ze śmiercią. Daje ona lekcję każdemu melancholikowi jak należy się leczyć ze swego bezwładu życiowego. Podróżować by poznać wartość życia. Narażać się na niebezpieczeństwa podróży, by odczuć wyższość nad śmiercią. I radziłbym każdemu, któremu ciężar życia wydaje się zbyt wielki, o ile nie posiada środków na uzdrawiające podróże, przechodzić wolnym krokiem przez najbardziej ruchliwe skrzyżowanie ulic. Uciekając przed rozpędzonemi autami pozna ile warte jest życie...

Z. Grzybowski.







Fotografje „katastrofalne": Wide World, Atlantic i Universal.

Płoche białogłowy

Ilekroć zdarza mi się usłyszeć komunał o „dawnych, dobrych czasach", w których kwitła cnota i promieniowała obyczajność, biorę do ręki naszych klasyków XVI i XVII stulecia i wyławiam z nich całe wiązanki kwiatków i kwiatuszków, w rodzaju np. fraszki Klemensa Janickiego p. t. „Na obraz Penelopy":

Dziesięć lat sama wdowi żywot wiedzie,
Jednak umknęła przed pokuszeń władzą.
I nasze żony, kiedy mąż odjedzie,
Bardzo nabożnie doma się prowadzą.
Nawet i szatan skusić ich nie może,
Bo egzorcystów chowają w komorze...

Jak się okazuje, już w zaraniu „złotego wieku" nie brakowało w naszym kraju białogłów płochych, a w dodatku takich sekutnic, że podług Reya z Nagłowic, pewien mąż rogaty, dostawszy się po śmierci do nieba, uciekł ztamtąd czemprędzej, gdy mu oznajmiono, że zasiądzie obok swej nieboszczki...

Nawet wiek nie tłumił erotycznych zapałów niewiast ówczesnych. Mistrz z Czarnolasu temi słowy odpiera niewczesne zaloty jakiejś przejrzałej białogłowy:

Terazbyś ze mną zigrywać się chciała,
Kiedyś, niebogo, sobie podstarzała.
Daj pokój, prze Bóg! Sama patrzysz snadnie,
Że nic po cierniu, kiedy róża spadnie.

Nic krępowały się niewiasty ani czasem, ani miejscem do spraw Amora zgoła już nieodpowiedniem, jak to stwierdza nieznany autor z początku XVII stulecia:

Umizga się, by czapla, na niej terepele,
A oczyma, by sowa, strzyże po kościele,
Dla pończoszki i dziurek ukasza letniczka,
Wstęgi od zamszowego ukaże trzewiczka.

I nawet dziwić się temu zbytnio nie można, bo „czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci". Zaś, jak to podaje Krzysztof Opaliński:

...A tam panienka wie co to jest masculinus,
Choć jako żywo nigdy w szkole nie bywała...

Tenże Opaliński tak odmalował zdradliwe pieszczoty i podstępy niewieście swej epoki:

Jeśli młoda, a jako umie łowić męża,
To całuje, obłapia, to go sercem zowie
Jedynem, to pieścidłem, to skarbem
to złotem,
A myśli o kim drugim. O, kiedybyś kazał
Pootwierać pulpitynki, skrzynki, szkatułeczki,
Cobyś tam listów znalazł i sekretnych cedul
Od gachów i młodzieńców!

Czy choćby za tyle nieszczęść i upokorzeń doznawał ówczesny pan małżonek jakowegoś słodkiego a miłego zadośćuczynienia? Nic podobnego! Bo ówczesna białogłowa:

...Więc, gdy mąż w domu, rozkudłana chodzi,
A jako tam zkąd który gach przyjedzie, albo
Wierny jej kochaneczek — aż ci się wystroi!

Klną więc mężowie XVI i XVII stulecia doli swojej, nie szczędząc ciemnych barw płochym córom Ewy, jak np. Jagodziński w „Dworzankach":

Zła niewiasta wad djabła gorsza piekielnego,
Bo ów tylko złych męczy, ta zaś i dobrego.

Zaś w kilkadziesiąt lat później, pisze Gawiński:

Pojął ktoś żonę: a że dosyć mała,
Siła go ludzi o to strofowała.
Ten odpowiedział: Panowie, ze złego
Trzeba obierać, co jest najmniejszego.

Jak widzimy, dzisiejsze „płoche" białogłowy miały godne siebie poprzedniczki w skromnych panienkach i dostojnych matronach z przed kilku stuleci...

Mimo.

Genjalny malarz meksykański

Secretaria de Relaciones Exteriores Meksykańskich Stanów Zjednoczonych... W poczekalni przedstawiono mnie p. Aleksandrze Kołłontaj, ówczesnemu posłowi sowieckiemu w *Mexico City*. Zarówno as propagandy ZSSR., jak i ja usiłowaliśmy wyjść ze swych ról; rozmowa potoczyła się też... o stanie zdrowia ministra (p. Kołłontaj nie mogła przyzwyczaić się do lokalnego klimatu), jej wspomnień z pobytu w Warszawie, roztaczającym się wokół czarze przyrody, a nadewszystko o — sztuce rodzimej Meksyku... nic zato o polityce i kwestjach socjalnych.

— Poznał pan już jednego z największych ludzi współczesnego Meksyku — Diego Riverę? A może widział pan jego arcydzieła, zdobiące gmach *Secretaria de Education Publica?* Muszę pana uprzedzić, że nie obejrzawszy słynnych fresków, nie wolno wprost wyjechać ze stolicy. Tutaj bowiem można dopiero poznać właściwości tego olbrzymiego talentu, który tyle razy święcił tryumfy w europejskich salonach sztuki.

W samem centrum miasta, niedaleko od *Plaza National*, z szarego morza kamienic wyłaniają się trzy frontony gmachu *Secretaria de Education Publica*. Dwupiętrowa ta budowla, posiadająca wszelkie współczesne urządzenia, stylem swoim przypomina dawne osiedla królów meksykańskich: olbrzymi dziedziniec, przecięty pośród ku kamienną strukturą schodów, opiera się u podstaw na sklepieniach portyków; a w górze, dookoła, biegną szerokie krużganki, na ścianach których genjusz Diego Rivery zapoczatkował wielkie misterium — odrodzenie w narodowej sztuce.

Mury wszystkich kondygnacyj schodów i krużganków pokrywają freski — symbol nowego ruchu we współczesnem meksykańskiem malarstwie. Chociaż jeden człowiek nie stwarza renesansu w sztuce, może jednak nadać temu prądowi odpowiedni wyraz. Diego Rivera dokonał też tego jak najkorzystniej.

Charakterystyczne typy współczesnych meksykańczyków, nigdy ze świata wykwintu i elegancji lecz zawsze z życia proletarjatu i *indio*, o prostych ruchach i szlachetnym rysunku, zasobne w dowcip lub tragizm... jedne za drugiemi... grupami... jedna za drugą... aż gdzieś hen pod sam strop zapełniają barwne freski, odtwarzające walkę, nadzieje i trud tego szerokiego ludu, żyjącego i pracującego na azteckiej ziemi.

Jakiż to ostry kontrast z dotychczasowym charakterem malowideł ściennych, pełnych alegoryj teatralnych i ekstrawagancyj. Ile tu prostego i szczerego realizmu, ile nieopanowanej wyobraźni.

Paleta Diego Rivery posiada jedną zasadniczą barwę: czerwono-cynamonową; w tonie tym oddaje też ziemię, ubranie, twarze, dachy domostw — jest to niejako symbolem jego siły, którym nie chce parodjować Przyrody, ale którym oznacza swój indywidualizm artysty.

Dobór farby, monumentalność i prostota rysunku, cudowne zrozumienie swego materjału i — genjusz, uczyniły z twórcy młodej sztuki — proroka renesansu meksykańskiego, który, — jak twierdzi sam Diego Rivera — przejawia się nietylko w Meksyku, lecz również i w Europie.

Jak płomienie rewolucji ogarniają prawie zawsze najpierw niziny społecznego ustroju, a następnie przerzucają się stopniowo na warstwy wyższe, tak i Diego Rivera zaczął swą symboliczną pracę od samych podstaw — od *indio*, prostego meksykańskiego człowieka, nieumiejącego ani czytać, ani pisać. Dlatego *indio* właśnie Diego Rivera maluje freski, mówiące o potrzebie oświaty i pełne silnych protestów przeciwko ekspansji Waszyngtonu...



Wnętrze karczmy meksykańskiej. Obraz Diego Rivery umieszczony w Secretaria de Education publica w Meksyku

W cichej, wąskiej uliczce, na przedmieściu *Mexico City*, znajduje się dom wielkiego malarza, zwykła jednopiętrowa kamieniczka z płaskim dachem. Tu w pięciopokojowym lokalu znajduje się sanktuarjum Diego Rivery. Podłogi wyłożone cegłą, bielone wapnem ściany i oparte na poprzecznych belkach sufity — oto tło, na którem ręka pani Rivery rozrzuciła artystycznie miękkie poduszki, trzcinowe maty i barwne *serapes:* ściany i półki zapełnione cackami z gliny, drzewa i trawy — wytwór indyjskiej sztuki ludowej.

Artystę zastaję w pracowni wśród stosu płócien, świadczących o płodności mistrza; wszędzie też: na stalugach, stolikach, dookoła podjum, pełno obrazów i szkiców...

Długie lata, spędzone na studjach w nadsekwańskiej stolicy, pozostawiły u Diego Rivery piętno europejczyka. Wytworny w obejściu, przeplatający swe słowa rakietami paryskiego humoru, niczem prawie nie przypomina swych amerykanizujących się ziomków.

Diego Rivera najchętniej mówi o swoich freskach w gmachu *Secretaria de Education publica*. Są one jego chlubą i dumą. Bo czyż marzył on kiedy, o niezliczonych pielgrzymkach, jakie z najodleglejszych zakątków ojczyzny ciągną przed jego obrazy?

Ray Boyton, jedna ze sław amerykańskich, wyraziła się, że od wieku XIV-go nikt nie zdołał w sztuce odtworzyć całej epoki z jej ludem i bogactwami, lub też ubóstwem jej wiary i idei. Słowa te miały dowodzić zaniku cywilizacji, która niezdolną jest do stworzenia nowej wielkiej sztuki. Diego Rivera twierdzeniu temu zadał kłam.

Wiesław Tomaszewski.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

Panienka w rogowych okularach



Maria Valente (Wide World Photos).



Ordonówna (u góry), tajemnicza piękność (po środku) i zespół girls z Norah Morris (u dołu), które Harolda Lloyda uważają za swego „arbitra elegantiarum". (fot. Sfinks i Wide World).



Dina Gralla (fot „Petef").

Kilkakrotnie odbijały się już o moje uszy wiadomości, dotyczące panienek w rogowych okularach. Wiadomości te okazywały się zawsze bałamutnemi. Przy dokładniejszem zbadaniu kwestji wychodziło zawsze na jaw, że takich panienek (w rogowych okularach) w Polsce nie było i niema. Wogóle, z tem było taksamo, jak z owymi sławnymi dropiami, które rzekomo widziano w okolicach Grójca: żadnych dropiów naturalnie nie było. Były tylko zwyczajne gęsi, które uciekły z fury poczciwym izraelitom i gęgały wesoło pod laskiem. A panu, który o dropiach opowiadał, wszystko się zwyczajnie przewidziało. Zawsze tak bywa, gdy ktoś mięsza wódkę z piwem...

*

Wracając do panienki w rogowych okularach: owszem, poznałem taką panienkę. Możecie mi wierzyć, albo nie wierzyć, ale faktycznie przekonałem się, że panienka taka istnieje.

— Czy napewno? Bagatela! Zupełnie napewno, skoro się z nią przed tygodniem, moi drodzy, zaręczyłem!!!

*

Panienki w rogowych okularach istniały dotychczas w mej świadomości w 2-ch możliwych kombinacjach. W farsach, tłumaczonych z angielskiego, i w filmach z życia studentów amerykańskich. Tymczasem w pewien piątek (zawsze mówiłem: pechowy dzień) dostałem wezwanie treści dość niezwykłej. W wezwaniu tem stało czarne na białem, że pomiędzy panami Bibackim a Babickim, moimi znajomymi, zaistniał, mówiąc poprawną polszczyzną, spór zasadniczy, natury zawodowo-honorowej; i że obaj panowie, Bibacki i Babicki, postanowili poddać ten spór arbitrażowi, przyczem, nieszczęśliwem losów zrządzeniem, mnie, pechowca, łaskawie wytipowali na super - arbitra: arbitrzy obu panów skwapliwie się na to zgodzili. (Kanalje!) I oto w pewną niedzielę, kiedy 95% moich przyjaciół pojechało sobie wesołutko, tralali-tralala, do Konstancina, na raki, ja, wyrżnąwszy się w garnitur idealnie czarny, ubrany w takiż krawat, ponury, jak szkorbut--- zasiadłem w pewnym dusznym i obskurnym lokalu, by słuchać sprawy, która mnie nic a nic nie obchodziła, prowadzić, żal się Boże, kazuistyczny protokuł i — ach! — ewentualnie wyrokować.

Z tem wszystkiem byłoby, ostatecznie, pół biedy, bo nie z jednego pieca się już w życiu chleb jadło i niejeden kretynizm oglądało na własne oczy... Tylko, w danej sprawie, okoliczności złożyły się dla mnie jaknajfatalniej. Rzecznicy stron obu byli adwokatami: wiadome było z góry, że każdy z nich będzie gadał bite 3 godziny, to znaczy, razem 6... I jeszcze jedno świństwo zrobili: chcąc wszystko załatwić wściekle solidnie, posadzili obok nas, przy osobnym stoliku, stenografistkę. Żeby, uważacie, ani okruszyna tej djalektycznej uczty dla potomności nie przepadła.

Jak-em to wszystko zobaczył, struchlałem. A potem rozejrzałem się za czemś ciężkiem. Naprzykład za przyciskiem. A potem powiedziałem na stronie, szkarłatny z hamowanej pasji:

— O psiakrew...

*

Jedno spojrzenie w stronę stolika panny stenografistki ——— i krew we mnie zakrzepła... Zobaczyłem pod światło straszliwego czupidrona w czarnych, amerykańskich, rogowych okularach!

Oczywiście, wzdrygnąłem się z abominacji.

— Angielka? — zagadnąłem półgłosem moich konfraterów: — Dlaczego właśnie ang'elka???

Na to mi dano odpowiedź:

— Rodowita polka.

Przyznam się, że mnie to zaskoczyło. Zapytałem niezbyt inteligentnie:

— A dlaczego zrob'ła z siebie taką pokrakę?

Jeden z mecenasów - arbitrów parsknął nieprzyzwoicie.

— Prawdopodnie dlatego, że chce wyglądać poważniej...

Oczywista, że postanowiłem sobie ani razu nie spojrzeć na tego potwora.

Zaczęliśmy wałkować sprawę. Odrazu poszło jaknajfatalniej. Rzecznik Bibackiego wygłosił, do „porządku obrad", półgodzinny spicz, a kiedy się wreszcie zakrztusił i wypił szklankę wody, i kiedy już myślałem, że na razie się wygadał — przeprosił mnie sucho, oświadczył, że „jeszcze nie skończył" — i zaczął nas piłować tępą piłą, tak przeraźliwie nudnie, mętnie i rozwlekle, że kiep ten słynny czeski obstrukcjonista, który niegdyś, za czasów nieświętej pamięci c. k. austrjackiego parlamentu, bajdurzył przez 18 bitych godzin... Poczułem zawrót głowy, spojrzałem, jak tonący, na adwersarza pana mecenasa. Ale ten tylko uśmiechał się jadowicie i notował coś skwapliwie. Zrozumiałem, że szykuje odpowiedź, pewnie jeszcze dłuższą. Zrobiło mi się niedobrze...

— Jeżeli rzecznik Babickiego dojdzie wogóle do głosu, i zacznie mnie torturować tak'emi samemi „aczkolwiek" i „zważywszy" — postanowiłem — krzyknę, że się pali i ucieknę kuchennemi schodami... A gdyby mnie chcieli gonić, zakatrupię obu! Tak mi święty Jerzy dopomóż!

Właśnie skończył bardzo ozdobny okres mecenas Bibackiego, właśnie odchrząknął i zamierzał, prawdopodobnie zacząć „smarować" adwersarza — gdy zgoła nieoczekiwanie, jak głos słowika w lutym, a razem opatrznościowo, odezwał się stanowczy, jednocześnie melodyjny, kobiecy głos — stamtąd, od stolika:

— Jeżeli szanowni panowie będą się oddalali od meritum sprawy, zrezygnuję z protokułu; i tak zastenografowałam już 26 pasków papieru.

Wybałuszyłem na dziewczynę oczy.

— A n i o ł ! — pomyślałem: — Dalibóg, anioł!

Po tej pierwszej niespodziance przyszła wnet druga, jeszcze milsza. Bo gdy drugi z kolei retor, wziąwszy z miejsca szalone tempo, zaczął mleć wrednym adwokackim ozorem, jak, nieprzymierzając Nurmi pedałami — przerwała mu grzecznie, ale sucho zacna panienka:

— Szanowny pan mówi tak szybko i tak nieradjofonicznie, że nie jestem w stanie stenografować.

Tamtego tak zatkało, że aż usta otworzył — i umilkł.

*

Co się potem działo, nie umiem wprost powtórzyć, bo to było najcudniejsze teatrum, muzyka sfer, odgłosy chórów anielskich, i wogóle, najlepsza operetka, jakiej w życiu słuchałem. Co się który zaperzy, to go dziewczyna przygwoździ jakąś celną uwagą. Co który się napuczy — to go ta złota anielica na miejscu osadzi. Co się który nakręci na długie gadanie — to go to moje błogosławione Pogotowie Ratunkowe z punktu obleje zimną wodą! Krótko mówiąc: nim minął kwadrans — zaczęli obaj na mnie popatrywać, jak zbłąkane w lesie sieroty...

Wówczas wybiła moja godzina. Zmarszczyłem surowo brwi, podniosłem palec na znak, że pragnę mówić i odczytałem im króciutką sentencję, z której wynikało, że zarówno Bibacki, jak i Babicki, są skończonymi gentlemanami; że obaj są w idealnym porządku; że my, rozjemcy, zbadawszy wszechstronnie sprawę, orzekliśmy jednomyślnie, iż, aczkolwiek, niemniej — i chociaż z jednej strony, wszelako z drugiej strony; nadto: biorąc pod uwagę, uznajemy; tudzież, zważywszy, postanawiamy; wreszcie: bowiem, uznawszy, orzekamy. Hołubiec, zakończenie, data, podpisy.

— Wszystko...?

Wyprostowałem się, stałem się sztywny i odpychający. Wycedziłem z lodowatym spokojem, mierząc obu groźnych gadułów surowym wzrokiem:

— Wszyst-ko.

I w tej chwili spotkały się nasze oczy. To znaczy: m o j e — i j e j.

Nie wiem, co się tliło w moich oczach. Wiem zato, co błyszczało w j e j oczach...

— No, tak. Niepohamowana wesołość!

Ach, prawda, byłbym zapomniał: z d j ę ł a w t y m m o m e n c i e o k u l a r y

*

Kiedy obaj pyskacze wynieśli się nareszcie i kiedy zostałem z tą dziewczyną sam-na-sam (mieliśmy jeszcze adjustować protokuł tej afery...) skonstatowałem trzy rzeczy:

1) że panna stenografistka ma (bez okularów) najładniejsze na świecie oczy;

2) że uśmiecha się, szelma, jak najcudniejszy angielski sztych kolorowy;

3) że zbudowana jest, jak Venus...

— Czy pani wie, że ja pani zawdzięczam, zdaje się, życie? — zagadnąłem: — Oniby mnie byli na śmierć zagadali!

Venus roześmiała się srebrzyście.

— Przesadza pan... Doskonale pan sobie sam z nimi radził!

*

I o czem tu jeszcze wiele gadać? Chcieliście mieć erotyczną pointę? — macie erotyczną pointę. Czy pocałowaliśmy się zaraz, pierwszego dnia? Nie, dopiero drugiego. Czy nam to smakowało? Owszem, nadzwyczajnie. Czy się pobieramy? Naturalnie! Jak tylko znajdziemy mieszkanie i umeblujemy salon. (Sypialny już mamy).

— I co jeszcze? Aha, co do tych okularów? Nie, nie będzie ich w przyszłości nosiła. Poco je wogóle nosiła? Bardzo proste. Jest taka ładna, żeby jej mężczyźni inaczej spokojnie przejść nie dali. A musiała, uważacie, zarobkować, bo jest, biedactwo, golutka... Jeszcze nie wszystko? No, więc o co państwu jeszcze chodzi? — Dlaczego p r z y m n i e n i e b ę d z i e s'i'ę p'o't'r'z'e'b'o'w'a'ł'a o'b'a'w'i'a'ć z'a'c'z'e'p'e'k? C z y n i e b ę d z i e p r a c o w a ł a z a r o'b'k'o'w'o? — Naturalnie, że będzie! Tylko, że ja-bym takiego ancymonka, który-by się poważył smalić koperczaki do Ewki — (tak jest, na imię ma Ewa) — jabym takiego starł na proszek do zębów! na gips! na kaszkę mannę!

— Co, proszę? Czy będziemy przyjmowali w czwartki? — Dziękuję, nie!

M. B. LEPECKI

Drzewo śmierci

Zmrok już zapadał, gdy do bambusowej chaty Korisego przybył don Alfredo z bandą peonów i zgrają psów. Najście było tak nagłe, że nawet młoda żona Indjanina, Riszi, nie zdołała zbiec do lasu i teraz kuliła się w kącie, patrząc przerażonemi oczami na białych przybyszów. Ilekroć palące spojrzenia don Alfreda padało na jej obnażoną pierś i uda, wzmagał się jej zwierzęcy, instynktowny lęk przed obcymi. Najchętniej skoczyłaby w zieleniejące w pobliżu zarośla chikotza'owe i skryła swoje ponętne ciało w matce - dżungli. Na ucieczkę było już jednak za późno. Po wiosce snuło się co najmniej tuzin śniadych oberwańców, baczących pilnie, czy kto nie przemyka się ukradkiem ku gąszczom. Indjanie byli potrzebni do jutrzejszych łowów; ucieczka ich do lasu mogłaby pokrzyżować plany myśliwskie don Alfreda. Lepiej jednak, aniżeli peoni, pilnował pięknej Riszi sam Alfredo. Nie odstępował jej tego wieczora ani na krok. Wciąż coś tam do niej zagadywał, uśmiechał się, to znowu dość bezceremonjalnie poklepywał po nagiem ciele. Przerażona tą poufałością kobieta szukała mimowoli wzrokiem Korisego. Don Alfredo był jednak człowiekiem doświadczonym, wiedział, że najlepszym wytrychem do serc wojowników indyjskich jest wódka. Przy jej pomocy doszedł do rozległych włości i bogactw. Ona otwierała mu wrota do stron dzikich, do plemion nieujarzmionych i do serc nieufnych. Ona, „cana".

Poszeptał coś na stronie z jednym z peonów i wkrótce potem przerażona Riszi dostrzegła w rękach męża wysmukłe, przezroczyste naczynie, wypełnione wodą ognistą.

W kilkanaście minut później peoni wyrzucili pijanego zupełnie Indjanina. W chacie pozostał tylko don Alfredo i Riszi.

Kopnięta nogą lampa olejna zaskwierczała i zgasła.

Gruby mrok przysłonił roziskrzony wzrok białego i popielatą ze strachu twarz Indjanki. Rozległ się krótki, stłumiony krzyk kobiecy, śmiech męski i rechot przestraszonej papugi domowej.

— — — — — — — — — — —

Korisy zbudził się wcześnie. Pomogło mu do tego kilka tykw wody, wylanych na głowę przez jednego z peonów. Pierwszem wrażeniem, które przeniknęło do jego świadomości, zmąconej jeszcze nieco alkoholem, było uczucie przerażenia, jakie ogarnęło go na widok żony. Riszi wprawdzie nie płakała, ale jej wykrzywione rysy twarzy zdradzały taki ból i rozpacz, że i bez łez stan jej duszy był aż nadto wyraźny.

Korisy zaharkotał coś do niej w swoim rodzinnym języku.

Riszi kiwnęła głową. Kamienna twarz Indjanina nie drgnęła. Spokojnie, bez jednego słowa, skierował się ku obszernemu placowi wioskowemu, gdzie właśnie don Alfredo układał plan łowów na jaguara. Korisy zauważył odrazu, że wszyscy już wiedzieli o jego nieszczęściu. Wyczuł to ze spojrzeń i ruchów. Przepychając się przez tłum rodaków, spędzonych przez peonów, coś do mijanych przyjaciół mówił półgłosem. W odpowiedzi kiwano mu poważnie głowami. Stanął wreszcie przed białym.

— Wirakucze — rzekł łamaną hiszpańszczyzną — ja, Korisy, wiedzieć, gdzie mieszkać wielki pan selwy, przyjaciel ludzi, sam pstrokaty jaguar.

Przyjaciele Korisego zbliżyli się do białego skwapliwie i poczęli mu przekładać, że, właściwie, to tylko i wyłącznie Korisy może naprowadzić go na trop poszukiwanej zwierzyny.



Młoda Indjanka z dorzecza Amazonki. (Ze zbiorów autora)

— Korisy — mówili — mocny, mądry; on wiedzieć, gdzie śpi każde zwierzę.

Don Alfredo zgodził się na przewodnictwo Korisego chętnie.

— Dobrze — rzekł—ty pójdziesz ze mną, a inni poprowadzą w las moich peonów.

Poszli.

Korisy szedł przodem i wycinał ścieżkę maczetą. Zwolna zagłębiali się w splątaną ljanami selwę. Godzina mijała za godziną, a wędrówka nie kończyła się. Już słońce wzbiło się wysoko i wypiło resztki rosy porannej z lasu, a maczeta Indjanina wciąż jeszcze śmigała w powietrzu i pracowicie cięła gąszcz bambusów i zwykłego podszycia. Wytrzymałość białego była jednak znacznie mniejsza od wytrzymałości czerwonoskórego.

— Hallo, Korisy — zawołał, zmęczony już porządnie don Alfredo — kiedyż, carramba, dojdziemy do tego jaguara.

— Legowisko przyjaciela ludzi — odrzekł Indjanin, unikając starannie słowa „jaguar" — jest już bardzo blisko.

I nie skłamał. Już wkrótce po tej wymianie zdań zatrzymał się pod jakiemś wielkiem drzewem z rozłożystemi liśćmi i rzekł:

— Biały zatrzymać się tutaj. Biały odpocząć. Korisy pójdzie szukać pstrokatego pana.

Don Alfredo zgodził się skwapliwie na propozycję i nie zważając na dziwny nieco pośpiech oddalającego się odeń Indjanina, wyciągnął się jak długi w rozkosznem cieniu wielkiego drzewa.

Snując marzenia o polowaniu i czekających go w nocy rozkoszach z Riszi, nie zwrócił początkowo uwagi na dziwną ociężałość ciała, szum w uszach i tępy ból w kościach. Dopiero dziwny zawrót głowy, który zmącił mu na chwilę myśli, wyrwał go z odrętwienia. Próbował zerwać się z ziemi, ale nogi odmówiły posłuszeństwa, próbował krzyknąć — głos uwiązł mu w gardle. Ogarnął go lęk. Co to? Co się z nim dzieje? Czy to nie objawy otrucia? Ale przecież to niemożliwe... Jadł tylko mięso konserwowane z własnoręcznie otworzonej puszki. Jednak dziwna ociężałość zaczynała opanowywać go coraz więcej. Również i myśli poczęły snuć się wolniej, leniwiej. Jedynie wzrok zachował swą bystrość. To też z łatwością dostrzegł sylwetkę Korisego, czającego się w pobliskiej kępie mberychu. Indjanin patrzał na białego uważnie, ale nie zdradzał najmniejszej ochoty biec mu na pomoc. Don Alfredo przyzwał go ręką. Korisy odpowiedział mu śmiechem, wykonywując niezrozumiałe jakieś ruchy. Najwidoczniej wskazywał na rozłożyste drzewo, w którego cieniu biały leżał. Don Alfredo spojrzał w tym kierunku. Przez długą chwilę myśl nie przynosiła mu rozwiązania zagadki. Nagle błysnęła mu w głowie okrutna możliwość: oto leży pod trującem drzewem i jest skazany na to, że już nigdy z pod niego nie wstanie. W jednej chwili uświadomił sobie setki opowieści o tajemniczem drzewie, którego wyziewy sprowadzają na człowieka nieuchronną śmierć. Nikt z białych tego drzewa jeszcze nie widział. Miało ono być nadzwyczaj rzadkie, a miejsca, gdzie rosło, miały być znane jedynie nielicznym szczepom indyjskim.

Don Alfreda ogarnął okrutny lęk.

Począł wołać coś słabym głosem do Korisego, coś mu tam obiecywać, czemś grozić, ale głos jego brzmiał coraz ciszej i ciszej...

---

*) O drzewie tem krąży wśród wielu okolic Ameryki Południowej mnóstwo podań, legend i gadek. Istnienie jego nie zostało jednak stwierdzone przez naukę.

Jak powstały Marjinske Lazne

Przed przeszło 150 laty — szedł z Eger w stronę Tepel w Czechosłowacji młody rzemieślnik w poszukiwaniu pracy, aż doszedł do gęstego lasu, na którego skraju bulgotało małe źródełko. Wyczerpany podróżą umył się w niem, poczem spoczął pod drzewem i wkrótce zasnął. We śnie ukazała mu się Najśw. Marja Panna, która lewą ręką wskazując mu źródło, prawą uczyniła nad nim znak krzyża, poczem zniknęła. Sen ten zastanowił młodego rzemieślnika. Wyjąwszy modlitewnik z kieszeni, postanowił zmówić modlitwę. W chwili otwierania książki wypadł z niej obrazek Matki Boskiej — a chłopak wiedziony uczuciem pobożności, przytwierdził święty obrazek do drzewa, z pod którego biło źródło.

Wkrótce potem jakaś inna pobożna dłoń zastąpiła skromny obrazeczek, malowaną na drzewie postacią Marji Panny — a lud nazwał źródło Jej imieniem.

Po upływie lat kilku sława cudownych właściwości leczniczych źródła zaczęła się rozchodzić i po dalszych okolicach a z czasem, cierpiący na reumatyzm lub dolegliwości skórne, ciągnęli coraz tłumniej, by w cudownem źródle, szukać ulgi lub wyleczenia .W ten sposób powstało osiedle, noszące nazwę „Maryjskiego Zdrojowiska", pospolicie „Marjenbadem" zwanego. Rozbudowując się coraz więcej, otrzymało w roku 1818 dnia 9 listopada z gubernatorstwa Pragi — potwierdzenie nazwy i prawa miejscowości leczniczej.



Krzyż kamienny wbity w ziemię, datujący się od czasów wojen Szwedzkich, cel pielgrzymek kuracjuszy i międzynarodowych podróżnych

Opodal źródła, gdzie ciągnęły się rozległe bagniska, pewien mnich z pobliskiego klasztoru postawił olbrzymi drewniany krzyż, od którego wzięło następnie nazwę sławne dziś na cały swiat lecznicze źródło „Kreuzbrunnen" („Źródło Krzyżowe").

Przed 10 laty — klasztor wraz z przyległym kościołem obchodził 700-lecie swego istnienia. Założony przez magnata czeskiego Hroznatę hr. Wrby, zagłodzonego następnie w Alt - Kingsbergu przez rycerzy z Egerlandu, którzy napadli nań w drodze do Tepel i wraz z wiernym służącym uwięzili, klasztor ten przetrwał wieki. Wierny służący rycerza, wyskoczywszy z „głodowej wieży", uratował się ucieczką, a przybywszy do klasztoru dał znać o śmierci Hroznaty. Zakonnicy, wykupiwszy ciało, pochowali je w katakumbach klasztornych. Cudem ocalony giermek został następnie opatem klasztoru pod imieniem Benedykta. Hroznata umarł „in odore sanctitatis", a sarkofag z jego ciałem zdobi do dziś dnia nawę założonego przezeń klasztoru.



Przeor klasztoru Sztifft Tepl, zarazem inspektor leśnictwa w Marienbadzie

Są jednak inne wersje o powstaniu źródła. Oto jedna z nich.

Daleko na północy, od najdawniejszych wieków, mieszka król Krasnoludków i wraz z licznymi synami rządzi podwładnym mu światem podziemi. Królowi temu powierzył Bóg ważne zadanie utrzymywania we wnętrzu ziemi jednostajnego ognia, ażeby na jej powierzchni umożliwić egzystencję ludziom, zwierzętom i roślinom.

Pewnego dnia porozsyłał król swych synów w różne strony świata, ażeby w oznaczonych miejscach powiększyć ogniska, lub też niektóre świeżo rozpalić. Jeden z tych wysłańców zawędrował wraz z całym hufcem służących mu karzełków do pięknej doliny u stóp wysokiej góry. Po podjętych pod jego kierownictwem próbach okazało się, że ognisko założone dawniej, tkwi zbyt głęboko w ziemi i że należy je podnieść ku powierzchni. Natychmiast wzięły się krasnoludki do roboty i zbudowały olbrzymi kocioł, pod którym, napełniwszy go uprzednio ogromną ilością wody, rozpaliły ognisko. Chcąc wzniecić silniejszy płomień, kazał królewicz nasycić materjał palny wielką dozą siarki. Zaledwie jednak zapalono stos, buchnął wielki ogień, od którego zaczął się gwałtownie kocioł gotować, a płomień oświecił całą okolicę.

Z powodu wielkiego gorąca utworzyła się szczelina w kotle, z którego zaczęła wyciekać woda, a mieszając się z posypaną dokoła siarką — wydzielała niemiłą woń, tworząc źródło, które lud okoliczny nazwał „cuchnącem". Młody królewicz, widząc gwałtownie szerzący się pożar, zwrócił się po pomoc do ojca. Król Krasnoludków ogień ugasił, ale zabronił naprawy kotła, rozkazując, by po wieczne czasy płynęła zeń woda siarczana, posiadająca cudowne właściwości lecznicze. Na kotle tym powstała z czasem sławna na cały świat klimatyka, zwana „Maryjskiem Zdrojowiskiem", które do dziś dnia lud krasnoludków otacza swą opieką, broniąc cudownego kotła przed złośliwymi gnomami.



Klasztor Sztifft Tepl od strony celi przeora (oficyny). Marienbad.

Obecnie Marjenbad, pięknie rozbudowany, pełen komfortowych hoteli, will, oraz olbrzymich, podług najostatniejszych wymagań wybudowanych łazienek oraz krytych deptaków, umożliwiających kuracjuszom przepisowe przechadzki w czasie słoty, zdobny w piękny park — odwiedzany jest przez setki tysięcy osób z wszystkich stron świata. Zarząd Zdrojowiska, dbały o umilenie gościom pobytu, urządził również i piękne place sportowe, organizuje wycieczki w cudne okolice górskie po wspaniale zbudowanych drogach — po których mkną luksusowe autobusy.

Organizacja przemysłowo - handlowa Zdrojowiska, ujęta fachowo i energicznie przez Dyr. Fischera ma na celu przedewszystkiem wysyłkę wód źródlanych do wszystkich części świata — a poza tem zajmuje się wyrobem znakomitych mydeł i balsamów leczniczych, z ekstraktów igliwia, używanych do kąpieli domowych — nadzwyczaj skutecznych w dolegliwościach ischiasu, artretyzmu, oraz osłabienia.

To też nic dziwnego, że do Marienbadu zjeżdżają chorzy wszelkich krajów, wieku i narodowości — nie brak i różnych ukoronowanych władców i miljarderów, a każdy śpieszy szukać ulgi w cierpieniach, które tylko Marienbad uleczyć może.



Stacja męki Pańskiej przy klasztorze Sztifft Tepl, licząca przeszło 500 lat. (Marjenbad.)

Komfortowe hotele i pensjonaty zapewniają kuracjuszom wygody — opieka lekarska pierwszorzędna, oraz dbałość Zarządu Zdrojowiska o dostarczenie wszelkich rozrywek, mogących uprzyjemnić pacjentom pobyt w czasie leczenia — oto plusy, gwarantujące olbrzymią frekwencję całorocznego sezonu światowej sławy Marienbadu.

Dla wytwornych i eleganckich kobiet, nie brak i miłych sensacyj, w postaci co tygodniowych wystaw przepięknych modeli toalet — w kreacjach pierwszorzędnych firm z Paryża, Londynu, Berlina, a nawet i Nowego Jorku. Na brak wrażeń (dodatnich) kuracjusze narzekać nie mogą — mają ich poddostatkiem w ciągu całego sezonu.

Na śladach przestępcy

Z cyklu „Cuda techniki policyjnej".

Odciski palców, którym poświęciliśmy specjalny artykuł w numerze 17-ym „7 DNI", nie są jedynemi śladami, które przestępca zostawia po sobie. Rzec można, że wobec ostatnich olbrzymich postępów techniki policyjnej, całe jego ciało od stóp aż do głowy, jego obuwie, ubranie, wszystkie przedmioty, jakie ma przy sobie, a nawet i pasożyty, towarzyszące mu podczas wyprawy — mogą stać się świadkami oskarżenia.

Na plan pierwszy wysuwa się tutaj — obok zdradzieckiego palca — zdradziecka stopa. Detektywi współcześni, podobnie jak czerwonoskórzy bohaterowie Fenimora Coopera, śladu podobnego nie przeoczą i pójdą za nim, jak za nitką, która prowadzi do kłębka.

Rzecz prosta, że ślady te najłatwiejsze do zbadania są poza obrębem miasta o kamiennych chodnikach. Droga wiejska, to otwarta księga dla każdego, kto zechce poznać tajniki jej pisma. Oto ślad ciężkich buciorów chłopskich obok lżejszego i foremniejszego odcisku trzewików letnika. Inaczej wygląda odcisk gumowej podeszwy amatora gry w tennis, niż odcisk damskiego pantofelka na wąskim obcasie.

Obok — masywny ślad drewnianych chodaków, a równolegle biegną ślady bosych stóp pastucha. A tutaj znów jakieś dziwne ślady podwójne— głębsze z lewej, niż z prawej strony. Musiał przejść tędy chromy na prawą nogę — potwierdzają to zresztą towarzyszące im małe dołki, ślady laski, którą się podpiera. W innem znów miejscu widzimy ślady dwojga osób, które przez czas pewien zgodnie suną obok siebie. W tem miejscu przystanęli przez chwilę — wskazują na to głębsze i szersze odciski ich obuwia. Coś musiało spłoszyć jedną z tych osób, gdyż nagle, jak szalona, pobiegła przed siebie (dłuższe przerwy między jej śladami, z mocniej zaznaczonemi „noskami" obuwia) — druga zaś osoba, uszedłszy parę kroków, zawróciła z drogi. Tu przejeżdżał jakiś cyklista, na gumach tej a tej marki, co widać po odciskach. Tam znów jakiś amator fotografji ustawił swój statyw — o kilka kroków przed nim pozowała grupa, złożona z młodej pani, małej dziewczynki i starszego pana — poczem całe towarzystwo wsiadło do przejeżdżającej właśnie bryczki, zaprzężonej w dwa konie. Tylne lewe koło tej bryczki jest źle osadzone na osi, gdyż pozostawia po sobie ślady ślady zygzakowate.

Ajent policyjny, po odkryciu podejrzanych śladów stóp na miejscu lub w pobliżu miejsca przestępstwa, fotografuje je, poczem zdejmuje ich dokładne kopje, zużywając do tego rozczynu, składającego się z wody z drobną domieszką gipsu. Uzyskane w ten sposób płaskorzeźby oddają z zadziwiającą dokładnością wszystkie skazy podeszwy, gwoździ, sztyficików i t. p. W porze zimowej do zdejmowania plastycznych modeli stóp, odciśniętych w śniegu, używa się kompozycji śniegu z gipsem, smarując uprzednio ślad oliwą.

Twardszy orzech do zgryzienia mają detektywi w mieście — lecz i tu, przynajmniej na samem miejscu przestępstwa i w jego bezpośredniem pobliżu odkrywają ślady stóp wilgotnych lub zakurzonych na lustrzanej posadzce, linoleum, lub na dywanach.

Niedawno dyrektor pewnej instytucji finansowej dał znać policji, że nocy poprzedniej jacyś złoczyńcy włamali się do jego gabinetu, kradnąc mu ważne akta oraz stosunkowo nieznaczną sumę pieniężną. Wizja lokalna odkryła, że szyba okienna rzeczywiście została wycięta, przyczem większa część ułamków szkła znajdowała się wewnątrz gabinetu. Zauważono natomiast, że ślady kroków, zaczynające się po zewnętrznej stronie okna i dochodzące do biurka pana dyrektora, są dziwnie podobne do śladów, rozpoczynających się w sypialni finansisty i zmierzających w kierunku tegoż okna. Poproszono go o zdjęcie trzewików, poczem okazało się, że to one właśnie odcisnęły jedną i drugą serję śladów. Przyparty do muru zeznał pan dyrektor, że całą aferę symulował, pragnąc w ten sposób usprawiedliwić zniknięcie niewygodnych dla siebie dokumentów, które zniszczył własnoręcznie.

Nawet zęby przestępcy mogą naprowadzić na jego ślady, jak to miało miejsce kilka lat temu w Lyonie, gdzie cała szajka wyrostków prawie doszczętnie obrabowała jedną z cukierni. Jeden z detektywów zwrócił uwagę na porzuconą obok lady sklepowej tabliczkę czekolady, noszącej wyraźny i świeży ślad zębów. Z zachowaniem wszelkich ostrożności zaniesiono zdradziecki smakołyczek do laboratorjum i po godzinie posiadano już dokładny model uzębienia łakomego złodzieja. Podczas wieczornej obławy zatrzymano niejakiego Dessort'a, posiadającego identyczne uzębienie. Przekonany o swej winie wydał wszystkich swych wspólników.

Zdarzyło się również pewnego razu, że przestępca pozostawił dokładne odbicie profilu swej twarzy. Włamywacz uciekając przed pogonią, pośliznął się, upadł, lecz wstał natychmiast i znikł w ciemnościach nocy. Na miejscu upadku zostało jednak dokładne odbicie jego twarzy, zarysowane w mokrej ziemi — z uderzająco wydatnemi łukami brwi i orlim nosem. Obok znaleziono ślady dłoni — prawej, w której trzymał rewolwer systemu Browninga i — lewej, w której ściskał kurczowo łom żelazny. Odbił się również fragment kamizelki w okolicy pasa. Wystarczyło to, aby przed upływem dwudziestu czterech godzin przestępca został zidentyfikowany i osadzony za kratą.

Zdarza się też, że jeden guzik, oderwany z ubrania przestępcy podczas szamotania się z ofiarą lub przechodzenia przez parkan, wystarcza do jego odkrycia. Ba! dowodem przeciw niemu może być odcisk części garderoby, jak to miało np. miejsce w Brukseli, gdzie dyrektor szkoły kryminologicznej de Rechter zidentyfikował mordercę pewnej staruszki wyłącznie na podstawie takiego odcisku, pozostawionego na prześcieradle.

„Pachnący bilet wizytowy", który przesądni złoczyńcy często zostawiają na miejscu przestępstwa, też może przyczynić się do ich wykrycia, jak to miało miejsce w Lyonie w sprawie morderstwa niejakiej wdowy Foucheraud. Trzej schwytani zawodowcy, podejrzani o to morderstwo, nie przyznawali się do winy. Jedynym dowodem przeciw nim mógł się okazać ów „bilet wizytowy". Poddano go też analizie i odkryto, że zawiera sporą ilość glizd żołądkowych. Zbadano wnętrzności trzech „kawalerów księżyca", znajdując u jednego z nich, Gaumet'a, objawy tej choroby. Przyznał się do winy i został skazany na śmierć.

Jeden jedyny włosek może zaprowadzić przestępcę na gilotynę jak to miało miejsce w sprawie morderstwa, dokonanego na osobie nocnego dozorcy fabrycznego. Zabito go pchnięciem noża w serce — lecz przedtem morderca stoczył z nim walkę, podczas której w straszliwy sposób podrapał twarz swej ofiary. Aresztowano kilka osób, podejrzanych o tę zbrodnię. Pod paznokciem jednej z nich znaleziono ślady krwi i mały, krótki włosek. Poddano go analizie i porównano z zarostem zamordowanego, ustalając w ten sposób osobę przestępcy.

Współczesna technika policyjna zaszła już tak daleko, że dla odkrycia przestępcy wystarcza dziś nietylko włos, lecz mała garsteczka pyłu, ledwie widoczna gołem okiem.

Uprzytomnijmy sobie, że kurz, który wchłania nasze ubranie lub nasza skóra, pochodzi bezpośrednio z naszego otoczenia. Składa się on z drobnych pyłków węglowych lub metalowych, jeśli mamy do czynienia z odzieżą robotnika ciężkiego przemysłu — z pyłków gipsowych, cementowych i wapiennych murarza — z drobnych ziół i proszków farmaceuty — z płytków papierowych bibljotekarza i t. d. i t. d. Rzec można, trawestując znane przysłowie: pokaż mi kurz z twego ubrania, a powiem ci, kim jesteś.

Istnieje kilka metod zdobywania i badania tego zdradzieckiego pyłu. Kryminolog niemiecki, Hans Gross, kładzie marynarkę osoby podejrzanej o przestępstwo do wielkiej, szczelnie zaklejonej torby papierowej, którą poddaje dłuższemu trzepaniu, skrzętnie zbierając pył, który osiada w ten sposób na dnie. Icard z Marsylji bada konchę usznq domniemanego przestępcy, z zadziwiającą precyzją określając następnie jego zawód i rodzaj otoczenia, w którem znajdował się ostatnio. Locard, dyrektor laboratorjum policji technicznej w Lyonie otrzymuje wspaniałe wyniki, badając... brud za paznokciami swych pacjentów.

Razu pewnego policja poszukiwała w tem mieście nieznanego sprawcy włamania do fabryki przyborów kościelnych. Wizja lokalna odkryła, że włamywacz wdrapał się po rynnie na szklany dach fabryczki, zkąd dotarł do jej wnętrza, spuszczając się na smolistym sznurze. Poddano badaniu kilkunastu podejrzanych włóczęgów, którzy wpadli w sieci kilku kolejnych obław — a gdy za paznokciami jednego z nich natrafiono na kolejne warstewki ciemnej farby (rynna) i smoły (sznur), zmieszane z drobnemi płytkami złota i srebra, nie było już wątpliwości, kto dokonał przestępstwa.

W najbliższej przyszłości podamy na tem miejscu kilka sensacyjnych przykładów, do jak nadzwyczajnych wyników prowadzą najnowsze metody badania drobinek pyłu na osobach podejrzanych o popełnienie przestępstwa.

(P.).

Kultura sportowa Japonji

Dużo kwiatów białej wiśni, domki z papierowej masy, gejsze, dżiu-dżistu, harakiri i kimona — oto jak sobie przeciętny mieszkaniec środkowej Europy malował do niedawna kraj chryzantem i wschodzącego słońca — Japonję. Ale Japończycy dali znać ostatnio Europie o sobie — nie tylko przez swego przedstawiciela w Lidze Narodów — nie tylko przez swe liczne misje zwiedzające różne europejskie urządzenia — ale także i to dosyć dobitnie, przez sport.

Kiedy w roku zeszłym w drodze do Amsterdamu spotkałem w wagonie kolejowym dwu przemiłych i wiecznie uprzejmie uśmiechniętych (naturalnie przez okulary) młodych kupców japońskich, udających się w sprawach handlowych do Marokka — nie wytrzymałem i zapytałem młodych ludzi, przeplatających swą ojczystą mowę — nazwiskami różnych znakomitości sportowych świata — o sprawy kultury sportowej Japonji.

Rozmowa potoczona „żywo" w djalekcie „anglo-franko-migowym" przy współudziale całego przedziału, dała ostatecznie rezultaty nie najgorsze z któremi właśnie poniżej z czytelnikami pragnę się podzielić.



Japoński następca tronu dokonuje przeglądu drużyny sportowej

Dżiu-dżitsu o którym tyle się mówi i słyszy — jest sportem typowo obronnym — używanym przez japończyków tylko w ostateczności obrony życia. Władają nim japończycy doskonale a niektóre precyzje uderzenia przynoszą nierzadko silne uszkodzenia ciała a nawet śmierć.

Sztuki dżiu-dżitsu uczą się japończycy bardzo długo, a minimalny czas, by rzeczywiście opanować wszystkie chwyty i uzbroić własny organizm w niespożytą siłę i zręczność trwa 6 — 8 lat, zależnie od zręczności danej jednostki. To też dżiu-dżitsu jakie w Europie widzimy może być tylko lichą namiastką oryginału z kraju wyspiarzy.

Rzucili się więc Japończycy masowo do uprawiania prawie wszystkich gałęzi sportu, pragnąc tą drogą polepszyć swą małą i niepokaźną budowę swej rasy.

Widzimy więc japończyków już w roku 1924 na Olimpjadzie w Paryżu. Słyszymy naówczas o nich, jako o doskonałych pływakach.

Ostatnio wykazali ogromny postęp. Do Amsterdamu w roku ubiegłym zjeżdża cała grupa złożona z 16 lekko-atletów, 12 pływaków oraz 1 lekkoatletki znanej powszechnie i u nas, Hitonu.

Postępy w ciągu ostatniego czterolecia ogromne. Japońscy lekko-atleci startują prawie we wszystkich konkurencjach. Znakomity Oda wyjątkowo jak na Japończyka silny mężczyzna, zajmuje 1 miejsce w trójskoku — startując również z niezgorszemi wynikami i w innych konkursach.

I była to jedna z bardziej wzruszających chwil w stadjonie kiedy sztandar japoński, czerwone słońce na białem polu, zawisł na środkowym maszcie — a muzyka zagrała smutny hymn japoński, będący dla naszych europejskich uszu 100% wyjątkiem z Madame Butterfly...

Rewelacją byli Japończycy w biegu maratońskim, który prawie do końca prowadzili. Ssuda i Yamada byli groźnymi przeciwnikami najlepszych biegaczy świata. Zgubiło ich prawdopodobnie tempo jakie nadali i musieli się zadowolić 4 i 6 miejscem. Jako pływacy byli już znani z Paryża. W pływaniu na 200 m. żabką, Tsuruta zajmuje 1 miejsce — bijąc taką sławę jak Niemca Rademachera, zaś Takaishi wywalcza sobie 3 miejsce w finale 100 m. dowolnym stylem, po ciężkich zmaganiach wstępnych.

M. Kurleto.

Kowal własnego szczęścia

Wbrew Tołstojowi, który twierdził, że tylko nieszczęścia mają różne oblicza, wszystkie zaś szczęśliwości są do siebie podobne, każdy z nas inaczej sobie szczęście wyobraża. Niewielu przytem, wzorem mądrych braminów, widzi je w wyrzeczeniu się dobr doczesnych. Ba! całkiem odwrotnie — wszyscy jesteśmy pewni, że właśnie zaspokojenie naszych najzupełniej doczesnych pragnień pogrążyć nas może w stanie błogiej szczęśliwości.

Jeden — wzorem Pascala — szuka szczęścia w szacunku swych bliźnich. Inny — w posiadaniu kobiety ukochanej. Jeszcze inny — w spełnieniu śmiałych zamierzeń naukowych lub społecznych. Większość — w niezależności materjalnej, w dostatku i dobrobycie, dalekich podróżach, pięknych strojach i klejnotach, smacznej i wytwornej kuchni i... olśniewaniu zawistnych przyjaciół i przyjaciółek.

Szczęście łakomego dziecka przybiera postać czekoladowej rurki z kremem. Kwiat szczęścia sublokatora zakwita w małym, ale własnym pokoiku z kuchenką. „Gdybym miała te szenszyle, byłabym szczęśliwa" — wzdycha piękna pani. Innej wystarczyłby wulgarny lis, przemalowany na srebrno lub niebiesko — byle otulić się nim mogła we własnej limuzynie. Szczytem szczęścia dla pijaka jest butelka francuskiego koniaku, która sama się napełnia po każdem jej wypróżnieniu. Dryndziarz nurzałby się w szczęściu od podeszew swych butów aż po cieńszy koniec bata — na gremjalnym pogrzebie wszystkich szoferów. Co się zaś mnie tyczy, byłbym szczęśliwy, gdyby moja pani była przy mnie szczęśliwa. Tak, ale aby zapewnić jej szczęście, musiałbym zdobyć dla niej wszystkie wyżej wymienione precjoza, oprócz jednego ciastka (nie jada ich z obawy utycia) i przedwczesnej śmierci szoferów, do których nie ma powodu żywić animozji... Pozatem — chciałbym jeszcze wykupić mój śliczny, płaski złoty zegarek, który, od pół roku w niewoli u ciotki, tęskni za mą lewą kieszonką od kamizelki — odnowić nieco moją garderobę, stworzyć sobie piękną bibljotekę (naturalnie w nowem i większem mieszkaniu, zastawionem nowemi meblami), odwiedzić Paryż, którego nie widziałem od lat pięciu no i — wybrać się nareszcie na pół roku do Japonji, o czem marzę od lat dziecięcych, oraz na pół czarnej do „Italji", o czem śnię od kwadransa...

O ile ostatni punkt tego programu jest stosunkowo łatwy do wypełnienia, inne wydają się „marzeniami ściętej głowy". Ale tylko pozornie. Bo, dopóki lojalny obywatel polski ma miesięcznie bodaj dziesięć złotych do wydania, stoją przed nim otworem wszystkie możliwości i najśmielsze jego pragnienia mogą lada chwila przyoblec się w różowe ciałka ponętnej rzeczywistości. O ile, naturalnie, nie przegra tych dziesięciu złotych w „klipę", lecz kupi za nie ćwiartkę losu loteryjnego w „najszczęśliwszej" (to znaczy pierwszej z brzega) kolekturze Loterji Państwowej. Rzecz prosta, że połówka lepsza od ćwiartki, która z kolei nie umywa się nawet do całego losu. Ale — „wedle stawu grobla", jak twierdził don Kichot po rozbiciu swej łodzi na kole młyńskiem.

Przypuśćmy jednak, że szczęście, drocząc się z nami zalotnie, nie obdarzy nas swym uśmiechem podczas pięciu ciągnień kolejnych. Pocieszyć się tedy winniśmy, że pieniądze nasze nie poszły na marne, powiększając fundusze państwowe. Zresztą — „dziś mnie, jutro tobie". Nie dziś, to jutro, los do nas uśmiechnąć się musi — a Fortuna sprzyja nietylko śmiałym, lecz i wytrwałym.

„Pieniądze niedają szczęścia". To prawda. Ale może dać szczęście to, co kosztuje wiele pieniędzy. „Oszczędnością a pracą ludzie się bogacą" — ale w bardzo żółwiem tempie. Wyciągając więc z powyższego wniosek — wyciągnijcie zarazem, mili Czytelnicy, odpowiednią sumkę z kieszeni i — ramię przy ramieniu, stupięćdziesięciotysięczną armją (licząc po pięciu czytelników na jeden egezemplarz „7 DNI"), maszerujmy na zdobycie grubych miljonów, które czekają na nas w przepastnych sezamach Polskiej Loterji Państwowej.

„Nie odrazu Kraków zbudowano". Zdarzyć się też może, że wygrana padnie na los nasz niekoniecznie już w pierwszej klasie. Tem lepiej dla nas, bo większe wygrane czekają na nas w klasach następnych, a zwłaszcza w ostatniej, najszczodrobliwszej i najłaskawszej.

(p).

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie, oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zośce, która ją ostrzega przed Reńskim.

(18)

Wyobraź sobie — z jakiemiś dziewczynami z kabaretów, dancingów, restauracyj! Potem z tym Reńskim — tutaj — i w Niechcicach — całe orgje były.

— Z Reńskim! to chyba niemożliwe.

— Nie wierzysz? Reński to — widzisz — dla niego niema nic świętego. Nie uszanował nawet mnie, choć byłam narzeczoną Władka, a on Władka uważał za przyjaciela. Reński — to motyl.

Hala przetarła czoło, czując w główce nieznośne, wirujące myśli.

Tak — tak Halu! I ja tarłam czoło! I ja czułam, że coś mi się w głowie przewraca! Oszczędzę tobie i sobie szczegółów. Reński jest śliczny i przemiły — ale...

— I ty go tu przyjmujesz?

— Bo jest miły i śliczny. Bo dlaczegóż miałabym nie pozwalać, żeby sobie przyjeżdżał, skoro Władkowi było wszystko jedno? Zresztą uniezależniłam się od *nich*. Traktuję ich — jak widzisz — pobłażliwie. Wolę skromnego i naprawdę zakochanego pana Alojzego. Wiem, że jestem czemś dla niego — nietylko pustą zabawką. Uwielbia mnie — to prawdziwy przyjaciel.

— I zdolny do tej... francuszczyzny — pomyślała Hala, a głośno spytała:

— A Władek?

— No, może wyjdę za niego. Ale to będzie na trzeźwo. Zresztą — jeśli tak postąpił — to niech ma.

— Ale nie wie chyba?

— Oczywiście, że nie wie! Gdyby wiedział, toby uciekł, gdzie pieprz rośnie — miałby pretekst. A tak — ma względem mnie obowiązek. Cóż jabym zrobiła ze sobą.

— Zośka — Zośka — jakaś ty biedna! Masz zmarnowane życie.

— Nie Halu. Nie zmarnowałam czasu. Poznałam życie. Teraz zaczęłam dużo czytać i wiele korzystam. Ani myślę marnować sobie życia z powodu Władka. Będąc jego żoną, pokocham kogo innego — może rozwiodę się — znajdę jeszcze szczęście. Ale muszę być jego żoną — dla tego innego mężczyzny muszę być czyjąś żoną — wtedy wybaczy wszystko. Powiem mu całą prawdę. Wybaczy — bo będzie miał pociechę, że to wszystko, co było — obciąża nie jego a Władka — on są tacy.

— A za pana Alojzego nie wyjdziesz?

— Ojciec nie pozwoliłby — odrzekła posępnie Zośka — a przytem Alojzy nie wie o niczem.

— O niczem? to tak można?

— Jeśli się jest dość sprytną.

Po takiej lekcji Hala znów dostała gorączki. Innym razem Zośka z rozmachem rzucała książkę na ziemię.

— Kłamstwo — wszystko podłe kłamstwo!

— Co Zośka?

— Te wszystkie romanse: angielskie i amerykańskie. Pomyśl: jadą całemi miesiącami okrętem, albo sleepingami — i nic. To kłamstwo! Albo też ci Anglicy są innymi mężczyznami, niż nasi mężczyźni — są dżentelmenami. Przecież Halu — zdaj sobie sprawę — samotnej kobiecie nie uda się przejść bez zaczepki warszawską ulicą, lub choćby niechcicką szosą! Miałaś sama przykład! Krzyczy się o kobietach dzisiejszych — racja, racja! Takich Alin i Molińskich jest pełno. Ale Halu — jak Reński — wiesz — co ci mówiłam — mnie zmuszał — a bałam się skandalu i żeby Władek na to nie wpadł, bo by mnie zaraz porzucił — to potem Reńskiemu powiedziałam: — no, ma pan to, czego chciał? ma pan już dość? pogardzam panem! Odtąd zrozumiał i jest pełen szacunku, ale uśmiecha się podle i perfidnie nieraz — bo miał — co chciał. Ach, jabym ich wszystkich pozabijała! Halu — Halu — uważaj na siebie.

— Zośka moja — mówiła z głębi wzruszonego serca Hala i głaskała ją po ręku.

— Książki przeważnie kłamią — mawiała Zośka. — Weźmy powieści autorek — specjalnie przeczytałam wszystkie nowoczesne powieści, pisane o kobietach przez kobiety. Taka Karin Michaelis — taka Spyrkówna i wszystkie inne — jak to pięknie umalowały, jak się bawią swojemi bohaterkami! Wymyślają poprostu nową psychologję kobiecą — i nie chcą pisać tak, jak same czują, tylko tak, żeby ich bohaterki najbardziej się podobały. A jak unikają wszystkich detali, szczegółów, perypetyj specjalnie kobiecych! Jedne zajmują się jedynie agitacją przeciwko mężczyznom — przecież to nie ma sensu — ładniebyśmy same wyglądały — jacy są — ale są. — A inne znów uważają się za bojowniczki o prawa kobiece. A inne ze świntuszek albo idjotek robią bohaterki — a o zwyczajnem porządnem sercu i zwyczajnem codziennem kochaniu i życiu ani dudu! Możnaby myśleć, że same takie z nich filozofki! Nasze jedno prawo i nasza klęska — to serce.

— A widzisz? A śmiałaś się ze mnie, że nie czytam tego wszystkiego.

— Bo czytać trzeba nie dlatego, żeby wszystkiemu wierzyć, tylko żeby było o czem myśleć.

I dodała:

— Bo ciągle myśleć o swoich sprawach — to naprawdę Halu — jest nieraz za ciężko — zresztą i tak się wraca od każdej książki do samej siebie.

— Właśnie Zośka. Ja po przeczytaniu „Dewajtisa" pomyślałam, że Steyr to taki typ inżyniera...

— Ty ciągle z tym „Dewajtisem".

Hala uśmiechała się bezradnie. To wszystko było zbyt posępne i wiosna w Czerniczkach przestała być wiosną prawdziwą. Należałoby wyjechać — prosił o to i papcio, w długim liście rozmawiający z córką o wszystkich jej sprawach. Papcio przebaczył Hali ucieczkę, ale napisał wiele przykrych rzeczy o Reńskim. Hala bladła, czytając syntezę: — Jest to człowiek, według moich starych zasad, pozbawiony poczucia honoru, bardzo niewybredny uwodziciel — i tak dalej...

A jednak obraz pana Ali, pięknego i wytwornego, pozostał niezatarty. Chwilami Hala myślała, że i Zośka i papcio mówią o jakimś innym Reńskim, nie o tym, który posiada w oczach najgoretsze i najszczersze wyrazy uczuć, nie o tym — którego głos drżał czystą namiętnością, nie o tym — którego czoło jest tak szlachetne i mądre — a ramię, tak opiekuńcze i kochające. Bez wątpienia — Reński, który tulił w objęciach Halę i zapewniał ją, że wszystko stanie się dobrze — był zupełnie inny, niż ten Reński z opowiadań, wersyj — a może i plotek...

Tak, czy inaczej — ale Hala starała się usunąć ze swego serca wszystkie nadzieje, związane z Reńskim. Jednocześnie stała się rzecz dziwna: Hala poczuła niechęć do Zośki. Niechęć ta rosła tak szybko, że Halę to aż zastanowiło. Dotychczas nie znała uczucia, nieusprawiedliwionego myślami. Chwilami Zośka wydawała się Hali poprostu nieznośną — choć była tak miła, młoda, przyjemna i rozumna. Rozmowy z Zośką, choć ciekawe, denerwowały. Denerwowały jej okrągłe ramiona, sprężysty chód, jasny głos. — Przecież powinnam być jej wdzięczna za tyle szczerości, za tyle serdeczności dla mnie. Przecież powinnam żałować ją i współczuć jej nieszczęściom — myślała Hala.

Łowiła jednak siebie i na innych myślach. Usta Zośki, piękne i wydatne były całowane przez pana Alę. Pan Ala obejmował Zośkę, tak zgrabnie i wysmukłe rysującą się w letnich sukienkach, które już można było nosić po domu. Pan Ala dostał — to co chciał — a Zośka nim dopiero potem pogardziła.

Hala nie pozwalała sobie na te myśli: przychodziły one same, nieproszone, natrętne. Hala stylizowała swą niechęć do Zośki w innych coraz wyraźniejszych formach: Zośka jednak źle postępuje wogóle. Zośka nosi zabawne uczesanie. Zośka bardzo chce imponować temi swojemi książkami. Zośce się wydaje, że już jest taka ogromnie mądra po kilku *tego rodzaju* historjach. Takich mądrych znalazłoby się i więcej...

Bezwiednie wkraczając na ścieżki kobiecych złośliwości, pogrążona przytem w gorzkich rozmyślaniach o panu Ali, Hala przepędziła najpiękniejsze wiosenne dni w Czerniczkach — gdy znalazł się odpowiedni pretekst do wyjazdu i do uwolnienia się od coraz bardziej nieprzyjemnej przyjaźni z Zośką. Zresztą i sama Zośka musiała coś zauważyć w stosunku Hali do siebie — i przytem wyraźnie posmutniała.

Pretekst do wyjazdu w postaci depeszy pilnej z opłacona odpowiedzią brzmiał:

— Stało się nieszczęście, Artur błaga panią o ratunek tylko pani może go uratować, czekam odpowiedzi, spotkam na dworcu Tochter.

— Co myślisz o tem — Hala zwróciła się do Zośki.

— Myślę, że odpisz krótko: nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym Arturem i z żadnym Tochterem — odrzekła Zośka.

— Tak mówisz?—zapytała Hala niemal ostro

— Nie inaczej. Wplączą cię jeszcze w jakąś kabałę. Lepiej siedź tu.

Nie. Hala nie chciała tu zostawać.

— Właśnie! To twoja polityka życiowa — myśleć tylko o sobie! Tybyś palcem nie kiwnęła, gdyby kto kiwnął i potrzebował twojej pomocy — aby samej tobie tylko było słodko.

Zośka mężnie zniosła docinek.

— Odkąd to zaczęłaś być złośliwa, Halu? Ja ci tylko radzę — a ty zrobisz, jak chcesz.

— Pojadę — zdecydowała Hala.

Zrobić naprzekór Zośce! Czynić cośkolwiek — żeby nie myśleć o Reńskim! Wyjechać stąd!

Przyjaciółki rozeszły się chłodno, ale przy odjeździe Hali i pożeganiu niespodziewanie uczuły powrót serdeczności. Ucałowały się ze łzami i uściskały, jak niegdyś, za czasów szkolnych. — Ty Halu, nie zmieniłaś się, ale ja już jestem inna — powiedziała smutno Zośka. — Nie, i ja jestem in-

na, znacznie gorsza, niż dawniej — odrzekła Hala.

Jadąc na stację zdała sobie sprawę z tego, że jedzie nie tyle dla samego Zaliwskiego, ale wogóle, żeby wrócić do Warszawy — i żeby zrobić naprzekór Zośce. Nie widząc przyjaciółki pożałowała teraz serdecznie i niedobrych myśli i kilku złośliwych słów.

Na stacji, w oczekiwaniu pociągu, można było przeczytać dziennik. Z roztargnieniem przerzuciwszy gazetę, Hala wróciła do najbardziej sensacyjnej pierwszej strony i nie wierząc własnym oczom ujrzała wielkiemi literami wypisane nazwisko i imię Artura Zaliwskiego.

U góry mieścił się wielki tytuł: OSZUKAŃCZA SPEKULACJA AFERZYSTÓW, a pod nim mniejszy: *Aresztowanie macherów giełdowych.*

Z dalszego ciągu wynikało niezbicie, że wśród kilkunastu aresztowanych aferzystów znalazł się i Zaliwski, właściciel domu handlowego, zatrzymany jak i inni pod zarzutem wyłudzania od klijenteli oszczędności i drogą oszukańczych machinacyj przyswajania ich sobie. „Śledztwo wyjaśni stopień winy aresztowanych — czytała Hala — wiadomo jednak władzom już od dawna, że wspomniany dom handlowy zajmował się niedozwolonym handlem walut i operacjami, na które nie posiadał patentu".

Nie było to więc nic strasznego — i być może, Zaliwskiemu nic nie grozi. Napewno nie jest winien! Wciągnęli go tamci... Ale Boże — taki rozgłos — co za wstyd dla Zaliwskiego — i dla jego znajomych.

W pociągu Hala powzięła decyzję bardzo szlachetną. Jeśli tylko można pomóc Zaliwskiemu — należy to zrobić: Hala nie wyobrażała sobie, w jakiej to formie może się stać — ale przecież Tochter wyraźnie telegrafował, że tylko ona może pomóc.

— Jest to naturalne — rozumowała Hala — że zrobię, co będę mogła, zupełnie nie przez wzgląd na Zaliwskiego, tylko traktując sprawę po ludzku. Pomogę mu — poprostu tak, jak się powinno pomóc człowiekowi — i więcej nic. Do widzenia — na tem koniec. Przy tej sposobności zajmę się czemśkolwiek i łatwiej zapomnę o Reńskim, bo o nim zapomnieć jest zdaje się — dość trudno... Trudno! Życie jest ciężkie.

Hala zjadła czekoladkę i rozmyślała dalej:

— Tochter powie mi wszystko... Dobrze. Pojadę do domu. Pewnie będzie list od Anny... Albo pojadę do niej, albo zajmę się pracą społeczną w Warszawie — bo dość już próżnowania i rozmyślania o romansach. Nie będę — nie chcę być zwyczajną gęsią... trzeba dać obie spódniczki do plisowania i odświeżyć zeszłoroczny płaszczyk — jeśli nie wyszedł jeszcze z mody... Stefci trzeba po drodze kupić coś słodkiego, albo lepiej „żydków" — ona to lubi...

Sąsiad Hali poprosił o gazetę i zaczął czytać akurat w miejscu, w którem opisane było aresztowanie Zaliwskiego. Hali zrobiło się przykro.

— Eh — nie należy tak zważać na drobiazgi. Zaliwski napewno nie winien — ale mu nagadam, jak tylko go wypuszczą. Bo chyba będę się musiała z nim zobaczyć — a może lepiej nie — Tochter mi powie — o co chodzi... Ale że też spotyka mnie jakiś Tochter, a nie ktoś z domu, albo i pan Ala... Eh, skończone z panem Alą — głupia byłam.

Serce Hali wierzyło jeszcze trochę w pana Alę. Niemożliwe, żeby kłamał; niemożliwe — żeby Hali nie kochał.

Tochter podskoczył do stopnia wagonu i pomógł Hali wysiąść. Śpieszył się bardzo i denerwował, z roztargnieniem odpowiadając na pytania Hali. Zaniósł sam walizkę do dorożki i kazał jechać na Daniłłowiczowską.

— Dlaczego? Dokąd jedziemy? — spytała oszołomiona Hala.

— Ja to zaraz pani wytłomaczę — rzekł Tochter, sadowiąc się obok — panie dorożkarz, czy pan nie może jechać prędzej?

XII.

Dziwne to było, że panna Liwska pojechała prosto z dworca — z jakimś żydkiem — wprost na Daniłłowiczowską, do urzędu śledczego — ale Tochter nalegał, dowodził krzykliwie, że tak trzeba — i Hala mimowoli poszła pod jego energiczną komendę.

— Jeśli pani przyjechała do Warszawy, to już pani może przejechać te parę ulic do Artura i dopiero potem jechać do domu.

— Ale dlaczego taki pośpiech?

— Pani myśli, że jemu tam przyjemnie? Pani nie wie, że jak robić żelazo, to na gorąco?

— Ale co się wogóle stało?

— Świństwo się stało, proszę pani. My — to znaczy nie ja, ja tylko jestem sobie mały urzędnik — my ufali klijenteli, a klijentela ufała nam i my robili małe interesy — a jak się znalazł jeden głupi, to wszystko się wydało i zrobił się szkandał.

— Ale pan Artur nie jest winien?

— Co tu mówić winien, czy nie winien? Jak on winien, to i cała Warszawa, i cała Polska i cały świat winien! Kto nie robi interesów? Czy jest jaki interes taki zupełnie jak szkło? Gdzie pani widziała interes bez ryzyka?

Hala nie widziała interesów, ale pomyślała chwilę i przyznała Tochterowi rację.

— No, pani sama widzi! Tu rozchodzi się o ratunek!

— No dobrze, ale co ja pomogę?

— Proszę pani, gdzie djabeł nie może, tam posyła kobietę! A pani jest śliczna kobieta.

— No dobrze, ale ja nie mogę...

— Co znaczy — pani nie może! Pani wszystko może! U nas w Polsce pani mogłaby wszystko.

Z nieprzyjemnem uczuciem wstąpiła Hala na wydeptane schody urzędu śledczego. Tochter przezornie został na dole.

— Ja tu popilnuję walizki — po co ja mam iść tam do nich?

Urzędnik, siedzący przy stole, powitał Halę bardzo ostro.

— Do kogo?

Hala wytłomaczyła.

— Nazwisko?

Hala wyjąkała nazwisko swego papcia. Było jej przykro, że nazwisko to musiało być wygłoszone w tych murach.

— Zaraz.

Przyszedł drugi pan i trzeci i czwarty. Każdy pobieżnie spojrzał na Halę i jakby powiedział sobie: — nienotowana.

Hala usiadła na ławie, obok starej kobieciny, cierpliwie czekającej na los, lub naczelnika.

Urzędnik powrócił po chwili i był teraz bardziej uprzejmy.

— A pani — co? kuzynka Zaliwskiego?

— Tak — zaczerwieniła się Hala.

— Może porozumiewać się tylko najbliższa rodzina, żona albo — narzeczona... Może pani jest narzeczoną? Bo Zaliwski tu uprzedzał, że przyjdzie jego narzeczona... Więc — czy to pani?

— Właściwie — zaczęła niepewnie Hala.

— No, tak — rozumiem — proszę zaczekać! Ale szkoda pani dla tych drapichróstów.

— On jest napewno niewinny — Hala podniosła głos.

— Wiemy — wiemy — wszyscy są niewinni. Tych niewinnych studentów już mieliśmy całą wiązkę — pani pozwoli.

Podał jej krzesło. Hala usiadła znów, starając się opanować. Po kwadransie zaprowadzono ją długim korytarzem do pokoju przyjęć. Zaliwski, wymizerowany i przerażony, już tam czekał. Serce Hali ścisnęło się żalem: ani śladu tupetu i pewności siebie w tym przestraszonym mizernym chłopaku. Zaliwski wydał się jej teraz strasznie młodziutki — jak uczniak w kozie. Ale nie zdążyła mu nic powiedzieć, gdyż Zaliwski zaczął mówić sam, szybko, cicho i jakby recytując rzecz wyuczoną na pamięć.

— Dzień dobry — słuchaj uważnie, bo powtórzyć nic nie będę mógł, a chodzi o to, żebyś zrobiła wszystko — bo inaczej wszystko przepadnie. Siedzę tu za to, że konkurowałem z bankami, nie mając na to prawa. To się wyjaśni wypuszczą za kaucją — wystarczy pewnie 300 złotych — i na sądzie się obronię albo wykupię. Więc licz sobie: po pierwsze — kaucja — przygotuj na wszelki wypadek 500.

Hala chciała przerwać, ale nie dał.

(d. c. n.)

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF

ułożył Jan Heyman.

Z 22 sylab ułożyć 11 trzysylabowych wyrazów. Środkowa sylaba we wszystkich wyrazach *jednakowa*. Początkowe litery słów dadzą nazwę dzielnicy Warszawy.

Sylaby: a — an — ba — dor — eks — i — le — lja — ma — man — ny — ok — piać — rak — roz — rzy — sza — szpi — ta — ta — wa — za.

ZADANIE I.

P. Stefan X. przyjechał do Warszawy na wyścigi konne rowerem z letniska odległego o 30 klm. z szybkością 10 klm. na godzinę. Po wyzbyciu się zapasów gotówki, które pozostały w kasach totalizatora, p. Stefan poczuł się lżejszym i z powrotem pędził z szybkością 15 klm. na godzinę. Jaka była przeciętna szybkość jazdy niefortunnego gracza?

ZADANIE II.

Trzcina, rosnąca pionowo, wystaje nieco ponad powierzchnię rzeki. Jak zmierzyć, jadąc łódką, głębokość rzeki, jeżeli rozporządzamy jedynie parometrową miarą, która nie sięga dna?

ZADANIE III.

Z Warszawy na Wystawę Powszechną w Poznaniu wyrusza 2-ch sportsmenów, którzy niestety rozporządzają tylko jednym rowerem, na którym, oczywiście, nie mogą jechać razem. Każdy z nich maszeruje z szybkością 6 klm. na godzinę a jedzie z szybkością 20 klm. na godzinę. Po jakim czasie obydwaj podróżnicy dotrą do odległego o 300 klm. celu podróży i w jaki sposób podzielą się możnością korzystania z roweru?

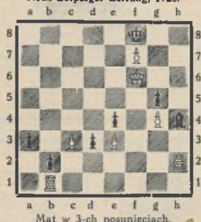
NAGRODY.

Za rozwiązanie trafne powyższych 4 zadań, nadesłane do redakcji do dn. 12 czerwca przeznacza się 5 nagród w postaci książek beletrystycznych do rozlosowania.

SZACHY.

J. Halumbirek.

Neue Leipziger Zeitung, 1928.



Mat w 3-ch posunięciach.

Rozwiązanie zadań z Nr. 14.

Logogryf.

S	tetogra	F
A	start	E
M	ikromet	R
U	kła	D
E	lementarn	Y
L	ima	N
Z	oopatologi	A
B	usinessma	N
O	skar	D
R	otan	G
O	bcesow	O
W	aregowi	E
S	tangre	T
K	omo	E
I	nterwa	L

Kwadrat magiczny:

R	O	B	A	K
O	P	E	R	A
B	E	R	E	T
A	R	E	N	A
K	A	T	A	R

Metamorfoza:

S	K	A	L	P
S	K	A	L	A
S	Z	A	L	A
S	Z	A	T	A
C	Z	A	T	A
C	Z	Y	T	A

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wielu Czytelnikom. Zadania czytelników umieszczamy kolejno, o ile nadają się do druku.

P. Darjusz Sadokierski. Nie.

P. Jerzy Karpenkot. Nie.

P. Z. Jankowski i J. Puchał. Materjał nie nadaje się.

Pp. Zofja Kreuzówna, Janina Piotrowska, S. Wołodko i Kazimierz Gilewicz, proszeni są o podanie swoich dokładnych adresów.

P. Henryk Zelwinder. Nie wiemy dlaczego.

P. B. Tunicki. Nie zamieścimy.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 15 „7 DNI".

Łamigłówka krzyżówkowa.

s		g		o		z		e		k		a		u		a		m		g		b		g	
o	p	u	s	p	o	r	s	z	a	o	s	p	a	c	i	s	k	o	s	a	k	r	z	a	k
W	Y	S	T	A	W	A	P	O	W	S	Z	E	C	H	N	A	W	P	O	Z	N	A	N	I	U
a	s	t	e	r	c	z	a	p	k	a	a	l	a	o	n	k	a	s	k	a	u	t	a	k	r
	n		p		a		ć		i		i		n		i		s		i		t		k		a

Zadanie konikowe.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu 1929 r.

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z Nru 15 otrzymują w wyniku losowania pp.: Zenaida Kłoczkowska, Włodzimierz Auderski i Zofja Tedorowska z Warszawy, Celina Römerówna, Grodno, ul. Saperska Nr. 18 m. 2, Marjan Konopacki, Lwów, Politechnika. Instytut Fizyczny.

HUMOR

Eksponaty — których ze zrozumiałych powodów nie wystawiono w Poznaniu (rys. Keller)



Dział piwowarski: 10-letni dorobek z piwa krajowego



Domowa fabryczka zagranicznych pieniędzy



Dział sztuki: Nóżki Panny Zofji



Ciężki Przemysł: warsztat Antka Klawisznika

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

2 N Marceliny
3 P Erazma
4 W Franciszka
5 Ś Bonifacego
6 C Klaudjusza
7 P Serca Jezusowego
8 S Maksyma

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce w.	Słońce z.	Księżyc w.	Księżyc z.
3 21	19 46	1 43	13 26
3 21	19 47	1 55	14 46
3 20	19 48	2 9	16 13
3 19	19 49	2 24	17 41
3 19	19 50	2 44	19 14
3 18	19 51	3 13	20 45
3 18	19 52	3 54	22 5

KALENDARZYK SPORTOWY

2 czerwca — bieg szosowy 100 km. o mistrzostwo W. T. C.

2 czerwca — międzypaństwowy mecz piłkarski w Poznaniu pomiędzy Polską a Węgrami.

2 czerwca — zakończenie trójmeczu lekkoatletycznego w Rydze pomiędzy Polską, Estonją i Łotwą.

2—8 czerwiec — międzynarodowe zawody konne w Łazienkach.

8 czerwiec — początek ciężkoatletycznych mistrzostw Polski w podnoszeniu ciężarów w Łodzi.

2 czerwiec — koniec tenisowych mistrzostw Warszawy pomiędzy Polską a Finlandją.

MENU TYGODNIOWE

Niedziela

Barszczyk pomidorowy, makaron z serem w muszelkach.

Polędwica wieprzowa, kartofelki drążone, sałata z oliwy i octem. Szparagi, sos holenderski, galareta pomarańczowa.

Poniedziałek

Rosół z jajami poszetowemi i liśćmi szpinaku, sztuka mięsa z sosem koperkowym i młodą karotką.

Racuszki z rumbarbarem.

Wtorek

Zupa szczawiowa, jaja faszerowane.

Zrazy nelsońskie w śmietanie, kasza orkiszowa. Suflet „czarne bracie", mleko lub śmietanka.

ŚRODA

Zupa fasolowa, grzanki z ostrym sosem.

Budyń z wątróbki, sos śmietankowy, szpinak.

Mleczko czekoladowe.

Czwartek

Zupa szparagowa, sztufada, kartofle, sałata ze śmietaną.

Kompot ze śliwek suszonych.

Piątek

Zupa grzybowa, zabielana. Szpinak z omletem. Kotlety z kabeljau, sałata z jarzyn mięszana.

Kruche ciastka z konfiturami.

Sobota

Rosół z kury, groszek ptysiowy.

Kura z ryżem, sos pieczarkowy. Szarlotka z rumbarbarum w naleśnikach.

TEATR

TEATR WIELKI

dn. 31 b. m. Poławiacze pereł.
dn. 1.VI Wesele Figara.
dn. 2.VI Straszny Dwór.

TEATR NARODOWY

dn. 31 b. m. Radziwiłł Panie Kochanku.
od dn. 1.VI Ferje letnie.

TEATR LETNI

dn. 30 b. m. Zakład o miłość.
dn. 31 b. m. Zakład o miłość.
dn. 1.VI premjera: W czepku urodzony. Komedja w 3-ch aktach W. Rapackiego.

TEATR POLSKI

dn. 30 b. m. Rozum i Głupstwo. Komedja w 3-ch aktach W. Perzyńskiego.
dn. 31VI Ładna Historja. Komedja w 3-ch aktach de Flersa i Caillaveta, premjera i jubileusz 50-cia pracy scenicznej p. Zofji Czaplińskiej.

TEATR MAŁY

od dn. 31.VI Rozum i Głupstwo. Komedja w 3-ch aktach W. Perzyńskiego.

TEATR MORSKIE OKO

Warszawa w kwiatach. Rewja w 20 obrazach.

KINO

Kino Wodewil. Złota Pantera z Jacqueline Logan, reżyserja Cecil de Mile.

Kino Quo Vadis. Grzeszki markiza de Marignon z Adolfem Menjou.

Kino Colosseum. Raj bolszewicki.

Kino Capitol. Kobieta z biczem z Reną Rich.

Kino Pan. W obliczu śmierci z Patem i Patachonem.

Kino Stylowy. Gołębica z Normą Telmadge.

Kino Casino. Piętno *Miłości z L. Barrymore.*

Apollo. „Człowiek z tłumu.

Filharmonja. Chcę śnić o tobie.

Hollywood. Pojedynek w przestworzach.

Miejski. Wojennym szlakiem.

Palace. Córka Zorry.

Splendid. Człowiek z tłumu.

Światowid. Łódź podwodna S. 44.

Dom Żołnierza (Praga) Pancernik Atlantyk, nad program Tygodnik filmowy.

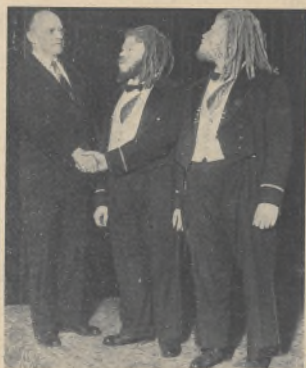
Projekty i układy fotograficzne do tego numeru wykonał L. Chejfec.



Trzej rodzeni bracia: Jack — wagi 235 klg., Tom — wagi 37 kg. i Pick — wagi 290 klg. Fenomeny ludzkie z „Luna-Parku" w Paryżu. (Wide World Photos).



Mlle Violette, „kobieta-kadłub" w tymże „Luna-Parku"



Eko i Iko, dwaj „podludzie", występujący w jednym z teatrzyków nowo-jorskich w towarzystwie swego odkrywcy, Abrahama-Vogla. (Phot. Underwood).

Fenomeny ludzkie

Matka-Natura, jakby znudzona wydawaniem na świat istnień ludzkich, zwierzęcych i roślinnych podług odwiecznych szablonów, pozwala sobie czasem na tak potworne lub dziwaczne kaprysy, że bledną przy nich postacie, wyczarowane przez wyobraźnię twórców starych legend, zarówno jak i takich mistrzów niesamowitości i groteski, jak Goya i Edgar Allan Poe.

Gabinety okropności i panopticum, do których każdy wchodzi z zaciekawieniem i skąd często ucieka z uczuciem grozy a czasem i obrzydzeniem, nie są wstanie zgromadzić wśród swych eksponatów wszystkich wybryków przyrody.



Harold Turland, najmniejszy liliput angielski — wzrost jego wynosi 75 cm. a waga 13 klg. (Photo-Plat).

Urodzenie się cielęcia o dwuch głowach, sióstr sjamskich czy też broda wyrosła u kobiety, trafiają się dość często. Istnieje jednak wiele innych potwornych istot, o których nic nie wiemy, chyba że uważając swą brzydotę za źródło dochodu, produkują się publicznie.

Nieszczęśliwe te istoty, dla których niema radości i szczęścia na świecie, traktowane są, przeważnie, przez poszukiwaczy silnych wrażeń jak zwierzątka, stworzone ku zabawie i uciesze gawiedzi.

A jednak są to też ludzie, umiejący miłować, poświęcać się, a zwłaszcza cierpieć...



Liliput amerykański Jerry, słynny „ekspert urody kobiecej", w towarzystwie tancerek z „Grand Central Palace" w Nowym Yorku (Wide World Photos)

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowosenatorska 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Cena ogłoszeń: zł. 1000 za 1 stronę, zł. 500 za ½ strony, zł. 250 za ¼ strony. W razie podwyższenia nakładu ceny proporcjonalnie wyższe: za podstawę obliczenia służy stawka złotych około 40 za jeden tysiąc nakładu. Drobne za wiersz 1 mm (3 szpaltowy) zł. 1 gr. 50.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Klisze i druk wykonano w Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Telef.: 172-06 i 117-98.